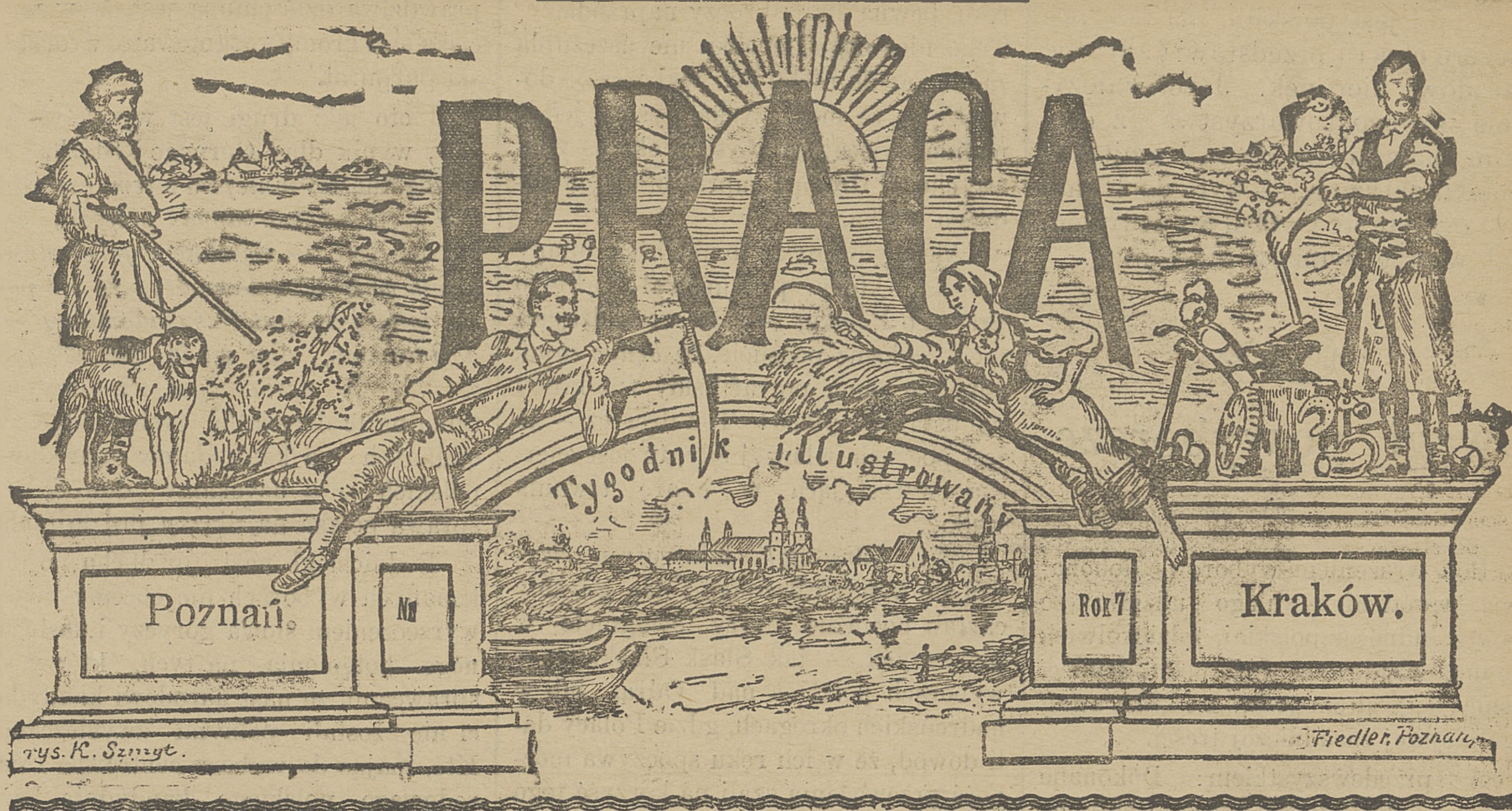
Nr 34. Poznań, dnia 23-go sierpnia 1903. Rok VII.



Nowe towarzystwo polityczne na Śląsku.

W Bytomiu zawiązało się nowe polityczne towarzystwo polskie. Celem jego ma być obrona praw polskiego ludu na wszystkich polach życia społecznego.

Założenie towarzystwa tego uważać trzeba jako szkodę dla sprawy polskiej. — Patrząc wstecz na rozwój społeczeństwa naszego, widzimy ciągłe straty i straty, — a stałem największem nieszczęściem życia naszego publicznego — to stawianie najnieodpowiedniejszych ludzi na wytyczne stanowiska. W założeniu nowego towarzystwa upatrywać należy tylko dalszy ciąg tej tragedyi, którą na Śląsku zainicyował człowiek, stawiony od lat kilkunastu u steru tamtejszego życia politycznego — człowiek, który niestety i u nas zażywa powagi proroka, — a który najmniejszych po temu nie posiada danych, — p. Napieralski.

Formalnie nowe towarzystwo założonem zostało bez pomocy i opieki naczelnego redaktora „Katolika". Nie był on nawet na wiecu organizującym. Ale w skład towarzystwa wchodzą sami zwolennicy polityki „Katolika", — a i p. Napieralski do towarzystwa przystąpił.

Tak więc ten ugodowo-centrowo-nie polski prąd, stworzony przez p. Napieralskiego, nie zaginął, — ale przeciwnie rozszerza się, nabiera siły przez zespolenie ostatnich niedobitków, — i działać będzie dalej, niwecząc zwolna poczucie i uświadomienie polskie w ludzie.

U nas o sprawie tej panują nader podzielone zdania. — U nas przedewszystkiem przyzwyczajono się od dawna do nietykania fortecy p. Napieralskiego. Człowiek, śledzący jako tako rozwój polityczny na Śląsku, i czytający raz po raz elaboraty „Katolika" lub „Dziennika śląskiego", — pyta się sam siebie: jakże to możliwem jest, — aby podobne wydawnictwa zażywały tak długo powagi? Przecież i u nas niema człowieka, któryby wyznawał zasadę, że dla względów wyższej polityki nie można Polakowi mówić, że jest Polakiem, — tylko trzeba „czekać". A jednak „Katolik" i „Dziennik śląski" omijają dziś jeszcze wyraz „Polak", a do czasu wystąpienia p. dra Rostka w Raciborzu wyraz ten wyklęty był z łamów organów p. Napieralskiego. — Ale w p. Napieralskiego wierzą u nas ciągle jeszcze, — dlaczego? — bo nie czytają niczego, co on napisał i codziennie pisać każe.

Towarzystwo polityczne, do którego on należy, — z natury rzeczy wyznawać będzie jego zasady, — gdyż p. Napieralski zanadto wierzy we własną nieomylność, aby komukolwiek pozwolić na własne zdanie. Dlatego też p. Napieralski zwykł dobierać sobie ludzi do wydawnictwa, którzy własnego zdania nie mają, — Dąbków, Palaczów i t. d., którzy o ile możności, jak n. p. Dąbek, pracowali przedtem w pismach w duchu niemieckim.

Nie wątpimy, że w skład towarzystwa wchodzą może ludzie, przejęci najlepszemi chęciami. — Ale **chęci dobre to za mało, trzeba także** rozumieć, jakie będą skutki podjętych usiłowań.

Nie ubliżamy nikomu, kto do towarzystwa tego należy, — ale że horoskopy nasze co do przyszłego rozwoju towarzystwa niebardzo są mylne, — na to dwa małe dowody.

Po pierwsze w programie towarzystwa umieszczono, że wybierać należy posłów „z krwi i kości" ludu śląskiego. — Czemu nie powiedziano poprostu: posłów polskich, jak jeden uczestnik wiecu słusznie proponował? — Otóż wiał w tych uczestnikach wiecowych ten sam duch, który ożywia elaboraty p. Napieralskiego.

Po drugie wiec zakończono okrzykiem na cześć cesarza Wilhelma!!

Ale nie chodzi w końcu o program polityczny towarzystwa. Już ten sam fakt, że ono egzystuje, jest fatalny, — gdyż mamy na Śląsku już jeden komitet wyborczy. — Dwa towarzystwa koniecznie wzajem zwalczać się będą i paraliżować swoją działalność. — Czemu nie pracować razem, wspólnie przy jednym zagonie, jak na dobrych synów jednej ojczyzny przystało?

Nie korzymy się bezwarunkowo przed „Komitetem wyborczym." Wiemy, że plamy są i na tem słońcu, jesteśmy n. p. zdania, że poseł p. Korfanty nie jest osobistością odpowiednią do stanowiska, które

...wadano. — Ale Komitet ten jako taki jest polskim, ma uczciwe szczere chęci i przedstawia zdrowy, narodowy kierunek. Jeżeli założyciele nowego towarzystwa z osobami, należącemi do „Komitetu“ nie sympatyzują, — było do Komitetu przystąpić i własnym wpływem wpływ przeciwników przełamać.

Vester.



Uwagi powyborcze.

I.

Pod wrażeniem wyborów dokonanych wśród niebywałego udziału ze strony ludności polskiej, gdziekolwiek się ona znajdowała w obrębie Niemiec, cisnie się gwałtem pod pióro kilka uwag ogólniejszej zasadniczej treści.

A przedewszystkiem: Dokonane wybory dały ludności polskiej chlubne świadectwo, że wzrasta jej rozum polityczny i jej jednomyślność — a wzrasta równolegle ze zwiększaniem się wrogiego nacisku. Wybory były *jedną wielką niepospolitą demonstracyą, za pomocą której ludność polska w obliczu całego cywilizowanego świata zaprotestowała przeciw systemowi gwałtów i ucisku.* Wszystkie klasy naszego społeczeństwa, wszystkie jego rozrzucone na wielkiej przestrzeni części — w jednomyślnie pojętem poczuciu obowiązku — przy urnie wyborczej wyrzekły swe: *Jesteśmy!*

Czy nad Wisłą, czy nad Wartą, czy nad odwiecznie polskim górnym brzegiem Odry czy nad niemieckim Renem — wszędzie lud polski jest ludem *polskim,* wszędzie chce nim pozostać, wszędzie odczuwa swą przynależność do jednego pnia. Polityczne prądy chwili mogą w rozmaitem oświetleniu wystawiać kwestyę głosowania na Polaka nad Renem — lub w tym albo w owym okręgu Górnego Śląska — żadne jednak względy, dyktowane chwilowemi korzyściami, nie są zdolne zatrzeć tego ogólnego a tak podniosłego wrażenia, jakie wywołuje fakt, że wszędzie, nawet w dzielnicach najbardziej zaprzepaszczonych z pozoru lub najbardziej oddalonych i wręcz obcych — wszędzie ludność polska grupuje się pod wyłącznie narodowym sztandarem. O dziesiątki tysięcy głosów polskich liczymy w tych wyborach więcej, niż w jakichkolwiek poprzednich. Tryumfem odradzającej się myśli rdzennie narodowej były te wybory — i jako takie pozostaną nazawsze idealnym dorobkiem naszego pokolenia, które ufne li tylko we własne siły, odtrącając niby przyjazne dłonie sojuszników z interesu, pewną stopą kroczy naprzód... Tego idealnego dorobku nie uszczuplą żadne zawiłe rachunki wyborcze, dowodzące, że może zyskalibyśmy jeden mandat więcej, gdybyśmy okolną zdążać chcieli drogą i zaprządz się do cudzego wózka.

Ale czybyśmy za to mieli ten dumny dreszcz, który przejmował każdego prawego Polaka, — to rozsadzające pierś radosne poczucie, że *będąc sami,* zupełnie sami, potrafiliśmy ani kroku nie ustąpić z placu! Ten dreszcz — to jest poczucie własnej siły, to jest energja wzrastająca w miarę trwania walki...

„Nie damy się!“ taki refren odzywał się w sercu każdego z nas, gdyśmy czytali poważne cyfry osiągnięte w pierwszych — jak Śląsk Śląskiem — wyborach *polskich* nad Odrą, lub w nadreńskich okręgach, gdzie Polacy dali dowód, że w ich ręku spoczywa możność przeważenia szali na korzyść tego lub owego kandydata.

„Nie damy się!“ O, panowie realni politycy, którzy zgłębiając statystykę wyborczą tysiące tylko obaw mieliście przed tymi wyborami, — wierzcie, *takie wywołane w piersi całego narodu echo — warte jest więcej niż wszystkie razem wzięte mandaty!*

A to echo wywołane jest nie czem innem, jak tylko owem jednomyślnem zadokumentowaniem narodowości we wszystkich prowincyach. Dziś czynem, rzeczywistością stało się to, co dotychczas jako błoga nadzieja kryło się w sercach gorętszych patryotów, — to: *że zabór pruski nie ogranicza się już do W. Ks. Poznańskiego, ale że składa się oprócz Prus Zach. — i ze Ślązka!*

Za te idealne tak pożądane wyniki zespolenia całego żywiołu polskiego w obrębie Prus w jedną niepodzielną całość dawno już — bo przed dwoma laty przeszło nasze pismo stanowczo a stale i niewzruszenie kruszyło kopie; z dumą spoglądamy dzisiaj na wydany podówczas „numer śląski „Pracy“, który na nasze pismo takie ściągnął pociski; z dumą spoglądamy na te zjadliwe pociski rzucane przez pewne pismo poznańskie na naszego wydawcę i na dr. Rakowskiego, po dziś dzień od ówczas siedzącego w więzieniu, za to żeśmy jedni z pierwszych zatknęli sztandar narodowy dla Górnego Ślązka; z dumą spoglądamy na ów osławiony komunikat „Katolika“, w którym obsypano błotem aresztowanego naszego naczelnego redaktora i naszego wydawcę, że śmieli wtargnąć z hasłami polskiemi w zakres dyktatorskiej władzy centrowego pachołka. To dla naszego pisma tytuł zasługi i chluby, — tak jak dla „Górnoślązaka“ i „Głosu Śląskiego“ prawdziwą dziś chlubą jest, że w nich ciska swe gromy rozgniewany wrocławski purpurat.

I oto jaki drugi jest wynik wyborów, wynik dla Górnego Ślązka w szczególności: *mniejsza z tem, czy kandydaci polscy narodowi przeszli, czy nie przeszli, — liczebne wyniki głosowania na Ślązku dowiodły, że lud polski tamtejszy jest uświadomiony już dostatecznie, aby módz stanąć pod sztandarem narodowym.* Spojrzyjmy tylko na te dziesiątki tysięcy głosów oddanych na kandydatów narodowo polskich — a uzyskamy dowód, że sprawa polska na Ślązku już dojrzała.

Podniosłego nastroju ducha po dokonanych wyborach nie chcemy mącić wyrzeczeniem słowa goryczy i zasłużonego potępienia na tych, którzy są sprawcami, że nasi narodowi kandydaci nie zostali pełnymi zwycięzcami. Kto, mając do wyboru centrowca i narodowego polskiego kandydata, każe ludowi wierzącemu w uczciwość przywódców, oddawać głosy na centrowca, a zwalczać Polaka — *ten już wydał na siebie sam wyrok potępienia.* Polskie serca bolejątylko szczerze, że w tak pięknej dotychczas historyi prasy polskiej na Ślązku *haniebna plama pokryła kartę zasług położonych przez „Katolika.“* Dotychczas nie było pisma polskiego, któreby przeciw kandydatowi Polakowi nawoływało.

Odwróćmy oczy od tego przykrego widoku ludzi, *których li tylko obrażona zarozumiałość zaprowadziła aż w szeregi odszczepieństwa.*

Poznańczyk.



I wy się dziwicie?

Poznański półurzędowo-hakatystyczny „Tageblatt“ a za nim godna jego koleżanka, berlińska „Post“ uderzyły w tych dniach na Polaków w Księstwie ze zwykłą hakatystyczną furyą zarzucając im brak serca dla nieszczęśliwych, brak uczuć ludzkich i rycerskości. I to z jakiej racyi? Oto z tej, że rzekomo nie wzięli należytego udziału w składkach na rzecz ludności dotkniętej tegorocznym wylewem Warty. Na to samo miał się podobno skarzyć w urzędowym swym referacie naczelny prezes pan von *Waldow.* Czy to prawda, oraz w jaką formę ujął on w danym razie tę swoją skargę, nie wiemy i z tej przyczyny dziś nią zajmować się nie możemy. Natomiast zarzuty wymienionych *„blattów“* wymagają *stanowczej a dosadnej odprawy.*

Otrzymały one ją już ze strony na-
szej prasy codziennej, ale niestety w
niedostatecznej mierze, a co gorsza
opartą na wręcz fałszywem pojmowa-
niu rzeczy. Dla tego uważamy za nasz
obowiązek, również zabrać głos w tej
sprawie i wyjaśnić należycie owym
„blattom“ niemieckim — *polskie nasze
stanowisko.*

Nasze dzienniki usiłowały wykazać
bezpodstawność zarzutów niemieckich
przez stwierdzenie, że Polacy nie tylko
się od tych składek *nie usuwali,* lecz
przeciwnie, *że nawet dużo dali na ten
cel do rąk owych komitetów.* Jest to
prawda, lecz niestety dla nas bardzo
smutna, poniekąd nawet *upokażająca,*
i z tej już przyczyny tą prawdą ataków
hakatystycznych odpierać nie należało.
Przez to bowiem i odprawa sama przy-
brała dla nas charakter upokarzający.
Co do nas, to ubolewamy bardzo, że
właśnie *tyle dano Niemcom na złago-
dzenie klęski powodzi* — zamiast utwo-
rzyć *polskie komitety ratunkowe* i pol-
skiemi dłońmi dawać wsparcia *polskim
powodzianom.* Stosunki tak się prze-
cie ułożyły, że *każde* współdziałanie z
Niemcami na jakiem bądź polu, nawet
w dziedzinie *miłosierdzia,* wychodzi na
naszą szkodę, a nadto, jak wykazuje i
ten wypadek ściąga na nas jeszcze bu-
rne i bezczelne ataki hakatystyczne. Da-
jąc Niemcom pieniądze na jakiebądź
cele, pozbywamy się wszelkiego prawa
do dysponowania niemi, a zarazem
pomagamy jeszcze rozmaitym „najser-
deczniejszym“ naszym do odgrywania
*naszym kosztem roli dobroczyńców
wobec ubogiej polskiej ludności.*

Lecz nie tu miejsce do takich rekry-
minacyi względem swoich, gdy chodzi o
danie odprawy bezczelności hakatysty-
cznej. Do owych dwóch pism hakaty-
stycznych dziś się zwracamy i pytamy
je nasamprzód, z *jakiem czołem* śmią
wogóle żądać od nas współudziału w
tego rodzaju *przez Niemców* podjętej
akcyi, z jakiem czołem mogłyby się dzi-
wić lub brać nam za złe, gdybyśmy
wogóle wszelkiego współudziału w tej
akcyi odmówili?

Zanim sami odpowiemy na te py-
tania, skonstatujemy nasamprzód dla
lepszego zrozumienia rzeczy, że udzie-
lanie ludowi pomocy w takich razach
jest *przedewszystkiem obowiązkiem
rządu.* Ludność płaci podatki nietylko
na pensye urzędników, na błyszczące
mundury wojskowych, na drogie arma-
ty i karabiny, na coraz to nowe potę-
żne okręty wojenne, lecz także a nawet
głównie na cele *dobra publicznego,* na
to, aby nietylko *rządowi,* ale *jej samej*
także było *dobrze* w państwie. Rząd
więc podatkami tak gospodarować po-
winien, aby miał każdej chwili dość
pieniędzy także na *wyjątkowe* potrze-
by ludności. Gdy tedy część ludności
nawiedzona została taką klęską, rząd
*sam, bez wołania o to, powinien pospie-
szyć jej z pomocą,* i to nietylko taką
drobną stosunkowo kwotą, jak 270,000
marek, lecz daleko większą, zupełnie
wystarczającą na pokrycie *wszystkich*
szkód żywiołowych. Rząd, który tego
swego *obowiązku i zadania* nie pojmu-
je, nie odczuwa, dowodzi, że stoi na tem
dziś chyba przestarzałem stanowisku,
iż nie on jest dla publiczności, lecz pu-
bliczność dla niego. W wieku dwudzie-
stym po Chrystusie takie zaś stanowi-
sko już nie uchodzi. Co się tyczy pry-
watnego miłosierdzia, to jemu w takich
razach przypada jedynie rola pomocy
doraźnej, chwilowej, częściowej, nieja-
ko uzupełniającej pomoc rządową. O
tem nasi powodzianie zawsze pamiętać
powinni, a gdy rząd zwlekać będzie z
pomocą, winni go się zapytać śmiało,
a stanowczo: na co płacimy ci ciężkie
podatki z naszej krwawicy!

A teraz co do owego, zadanego rze-
czonym pismom pytania: Naszem
zdaniem powinny były grzecznie i po-
kornie milczeć, chociażbyśmy na cele
ratunkowe dla powodzian *do rąk nie-
mieckich nie byli dali ani złamanego
szeląga.* To jedynie byłoby z ich stro-
ny zachowaniem się *przyzwoitem.* U-
czyniony nam zarzut braku serca, u-
czuć ludzkości i rycerskości jest wprost
bezczelnym, a obok tego strasznie *głu-
pim.* Polacy w zaborze pruskim skła-
dają bowiem na każdym kroku takie
olbrzymie i w oczy bijące dowody ofiar-
ności na cele publiczne, nawet na takie,
które pokrywać winien wyłącznie rząd,
że Niemcy wszyscy, bez wyjątku przed
tą naszą ofiarnością czoła uchylić po-
winni. Twierdząc, że w tym wypadku
daliśmy znów dużo, do rąk niemieckich
nawet za wiele, nie chcemy bynajmniej
powiedzieć przez to, że daliśmy *dla po-
wodzian* dosyć, że więcej dać nie mo-
gliśmy. Przeciwnie, przyznajemy chę-
tnie, że mogliśmy dać więcej; nie ulega
też wątpliwości, że *bylibyśmy dali wię-
cej, gdyby składki te nie były* zbierane
przez ręce niemieckie.

Wzgląd na to powstrzymał nie je-
dną — bo tysiące zwykle hojnych dłoni
polskich. I słusznie zupełnie! Do-
świadczenie, jakie czynimy w naszej
przynależności do państwa pruskiego
*mrozić musi w zarodku wszelkie zaufa-
nie do Niemców* . Ile to milionów pła-
cimy im w formie podatków i ceł pań-
stwowych — a cóż się z niemi dzieje?
Z tych milionów tworzą się fundusze,
przeznaczone wprost na *naszą zgubę,*
na wykupywanie ziemi polskiej, na usu-
wanie od jej nabycia biednego chłopa
polskiego, z tych milionów płaci się
dodatki do pensyi i rozmaite inne sub-
wencye urzędnikom i nauczycielom,
aby tem skuteczniej dobierali się do
najdroższego skarbu naszego, naszej
narodowości; z tych milionów utrzymu-
je się szkoły niemieckie dla germaniza-
cyi i utrapienia naszych dzieci; z tych
milionów buduje się domy dla Towa-
rzystw niemieckich u nas; wspiera się
niemiecki handel i przemysł, aby tem
skuteczniej wypierał przemysł i handel
polski! Ileż to milionów płacimy da-
lej także w postaci podatków *komunal-
nych, gminnych.* Jakiż z tych Niem-
cy robią użytek? Oto taki, że wszelkie
posady miejskie, nawet już i stróżów
nocnych obsadza się *Niemcami,* że więk-
szą część dostaw daje się Niemcom,
że płaci się subwencye niemieckim tea-
trom, zjazdom, festynom, że wogóle
szafuje się niemi hojnie dla wszystkie-
go, co niemieckie, *nie pozostawiając
dla nas nawet okruchów.* I gdy tak
wszystko, co tylko dochód i zysk przy-
nosi — daje się Niemcom, rzuca nam
się jeszcze w twarz skargi na — *ubó-
stwo* polskie w miastach. Dajemy rzą-
dowi krew naszą w służbie wojskowej,
przelewamy ją obficie w każdej potrze-
bie, a za to słyszymy hasło: „ausrot-
ten,“ za to męczy się naszą dziatwę w
szkołach, a więzi rodziców na długie
lata, gdy uniesieni żalem i bólem, stają
w jej obronie. Słowem — składamy
do rąk niemieckich ogromne daniny, a
w zamian za nie otrzymujemy tylko
*krzywdy, nędzę, upokorzenie i zama-
chy na nasz byt narodowy.*

Czyż więc, gdy nas *Niemcy* wzywa-
ją do składek na cele publiczne, choćby
nawet na cele miłosierdzia, możemy z
jakiemkolwiek zaufaniem dać im do
rąk nasze ciężko zapracowane grosze,
czy nie musi nas niepokoić trwoga, iż
stanie się z niemi to samo, co dzieje się
z naszą przymusową daniną z *krwi
i mienia?*

Gdyby Niemcy hakatyści posiadali
chociaż odrobinę poczucia sprawiedli-
wości i słuszności — nie mówiąc już o
wstydzie — toby powiedzieli: „Zabiera-
my Polakom wszystko, co tylko przyno-
si jakąkolwiek korzyść, odsuwamy ich
od wszelkich stanowisk państwowych;
gdy więc część ludności polskiej popa-
dnie w nędzę wskutek żywiołowej klęski
— przynajmniej w takim razie *sami*
pospieszmy tej części z materyalną
pomocą, własnemi ofiarami hojnemi
wynagródźmy jej chociaż cząstkę za-
dawanych jej codziennie krzywd i cio-
sów.“ Oni atoli nie kwapią się do te-
go, chociaż *tyle milionów rocznie także
z polskich podatków biorą do swych
kieszeni,* lecz jeszcze mają pretensye
do nas, iż nie pozwalamy tu im odgry-
wać *naszym kosztem roli* dobroczyńców

polskiej ludności. Niektórzy z nich zaś, jak to uczynił ów pastor z pod Środy razem z przewodniczącą Towarzystwa kobiet niemieckich, pragnęliby niemieckie *ofiary wyłącznie* zagarnąć dla Niemców, aż im nawet socyalistyczne pismo zwraca uwagę, że przecie i Polacy potrzebują pomocy......

I wobec tego „blatty" niemieckie śmią podnosić przeciwko nam *takie zarzuty!!* To już nie bezczelność — to *ohyda!*

Zarobiliście na nas tyle, zabraliście nam takie *obszary dóbr królewskich i duchownych,* bierzecie corocznie coraz nowe miliony, że waszym *obowiązkiem* byłoby odwzajemnić się chociażby *miłosierdziem dla polskiej niedoli.* Piszemy wyraźnie *obowiązkiem,* prostym aktem *wdzięczności,* a nie czasem *dobrodziejstwem!!* Do naszej ofiarności zaś *wara szczwaczom hakatystycznym!* Społeczeństwo, które otarło tyle łez, znajdzie jeszcze, o ile *rząd niemiecki nie spełni obowiązku swego, także pomoc* dla swoich powodzian, ale pomoc tę da *swemi* **własnemi** dłońmi, a nie *waszemi!*

Czujny.

Mocarstwa a Watykan.

W kołach austryackich i niemieckich wynik watykańskiego conclave wywołał powszechną radość. We Wiedniu bowiem panowało życzenie, aby tyara dostała się kardynałowi nie mającemu nic wspólnego z dotychczasową polityką papiezką i więcej oddanemu wewnętrznym sprawom Kościoła, aniżeli polityce. W tym duchu też starali się wpływać na kolegium watykańskie kardynałowie Grusza i Puzyna. Według jednych źródeł kard. Grusza, a według ostatnich wiadomości *książę biskup krakowski* miał obalić kandydaturę sekretarza Rampolli'ego. Gdy przy pierwszych głosowaniach Rampolla coraz większe miał widoki wyjścia zwycięzko, kardynał Puzyna podobno wystąpił w imieniu austro-węgierskiego rządu z groźbą, że w razie wyboru Rampolliego rząd wiedeński skorzysta z przysługującego sobie prawa i zaprotestuje. Wskutek tego rozegrała się scena „niemal dramatyczna," jak zapewniają dobrze informowane gazety. Rampolla pobladłszy, podniósł się z siedzenia i tytułem wolności Kościoła założył protest przeciw mieszaniu się Austro-Węgier w sprawę wyboru papieża, ale dodał, że nie życzy sobie brać ciężkich obowiązków papiezkich na siebie. W następstwie zaszła zmiana w poglądach kardynałów na korzyść kardynała Sarto, bo wobec tego okazało się, że tylko kandydat bezbarwny, który nie stał ani po stronie dwuprzymierza francuzko-rosyjskiego, ani trójprzymierza, zyskać może należytą większość.

Że kardynał Puzyna działał nietylko w myśl życzeń cesarza Franciszka Józefa, ale także *Niemiec,* nie ulega wątpliwości. Dlatego też paryzki „Figaro" w artykule „Zemsta trójprzymierza" twierdzi, że kard. Grusza założył protest z polecenia *cesarza niemieckiego.* Oczywiście „Figaro" idzie tu za daleko, ale w gruncie rzeczy nie mija się zapewne z prawdą, bo w akcie kardynała austryackiego, który założył veto, znać rękę *kardynała Koppa,* a książę biskup wrocławski jest, jak wiadomo, pośrednikiem rządu berlińskiego i przed swym wyjazdem do Rzymu udał się do Berlina na naradę z cesarzem Wilhelmem.

Miał on zaś daleko większy interes niż inni kardynałowie, aby wystąpić wrogo przeciwko sprzyjającemu Francuzom Rampolliemu, gdyż Niemcom był on szczególnie niemiłym, a nadto pomiędzy kardynałami Koppem i Rampollą istnieje głęboka niechęć od tej chwili, gdy b. sekretarz papieża Leona XIII. *nazwał kardynała Koppa „półkatolikiem."* Z pewnością Niemcy, usiłujące wydrzeć Francyi protektorat nad katolikami na Wschodzie, by przez to uzyskać pretekst do mieszania się w sprawy Turcyi, oraz protektorat nad misyami — miały główny w tem interes, by nie dopuścić do tyary kardynała, który mimo antyklerykalną politykę Combesa nie przestawał popierać Francyi. Więc rzeczywiście przyjść musimy do przekonania, że kardynał Kopp z polecenia sfer berlińskich pokierował krokami kardynałów austro - węgierskich i tak się stało, że *kardynał — Polak działał ręka w rękę z kard. Koppem w interesie Prus.....*

Ze zgonem Leona XIII. straciła Francya potężnego sojusznika, a wybór patryarchy weneckiego jest dla niej dyplomatyczną klęską wielkiej doniosłości, którą niedługo zapewne będzie można ocenić. Niektóre francuzkie gazety wprawdzie starają się rzecz przedstawić w fałszywem świetle, ale niezadowolenie przebija z ich wywodów aż nadto wyraźnie. A korespondent paryzkiego „Matin'a" pisze szczerze: „byłoby dziecińswem przeczyć, że nasza dyplomacya — która miasto rzeczywistych spraw naszych wciągnęła w to narodową miłość własną, poniosła niedwuznaczną klęskę." I tak jest, bo papież, na bezstronnem stojący stanowisku wobec dwuprzymierza, nie może zastąpić Francuzom takiego przyjaciela jakim był Leon XIII. i sekretarz jego Rampolla. A ponieważ Pius X. zawdzięcza tyarę austro-węgierskim i niemieckim kardynałom, Francya przypuszcza, że przechyli się na stronę trójprzymierza i będzie sprzyjał planom Niemiec.

Jest to tem prawdopodobniejsze, że Pius X. jako arcybiskup wenecki był przyjaźnie i pojednawczo usposobionym względem Kwirynału. Wszystko to przeto pozwala wróżyć, że Pius X. zbliży się do trójprzymierza, chociaż rozproszył nadzieje ugody z królestwem włoskiem.

W Watykanie rozpoczyna się nowy kurs, który śledzić będziemy z interesem. Szczególnie stosunek Watykanu do Niemiec obchodzi nas blizko, bo od tego zależy polityka partyi centrum i zachowanie się niemieckiego kleru wobec polskich wychodźców. Jeżeli stosunek ten ukształtuje się przyjaźnie, obóz niemieckich katolików coraz więcej nabierać będzie cech partyi rządowej.

Ordon.

Z TYGODNIA.

Ucichło i ustało nareszcie to nazbył natrętne, beztaktowne, aż do śmieszności „przenikliwe" i „domyślne" zainteresowanie się bezwyznaniowej i wogóle antikościelnej prasy europejskiej dla zmiany na *Stolicy Piotrowej.* Czego to nie przewidywano, czego z całą pewnością nie przepowiadano? Tymczasem koronacya nowego Papieża już zakończyła interregnum w kościele, wszystko wróciło do zwykłego trybu, a cóż się spełniło z tych przewidywań i przepowiedni? Nic zgoła! Okazało się ponownie, że Kościół Boży jest jedyną instytucyą stałą na ziemi, w której niema przewrotów ani przesileń, jakie trapią co chwila państwa świeckie. Na tronie Piotrowym mogą się zmieniać Namiestnicy, ale nie zmieniają się cele, zadania, zasady i dążności. Niezmieniony pozostał nawet stosunek *Watykanu do Włoch,* którego już napewno oczekiwano. Jedyną sprawą, która zamąciła nieco spokój i powagę wyboru nowej Głowy Kościoła, był i ów protest ks. kardynała *Puzyny* przeciwko ewentualnemu wyborowi kardynała *Rampolli.* Protest ten *jest faktem,* to już ogólnie wiadomo.

Nieznane atoli są i dziś jeszcze *właściwe i rzeczywiste* przyczyny, które go wywołały, które skłoniły właśnie *polskiego* kardynała do takiej od dawna niebywałej interwencyi. Twierdzo-

niu bowiem, że protest ten założony został w interesie i na życzenie rządu *niemieckiego*, przeczą stanowczo w dobrze poinformowanych kołach.

Rozmaite inne jeszcze o tej sprawie obiegają wersye, których wiarogodność na razie stwierdzić się nie da. Według jednych, kardynał Rampolla zajmować miał zawsze bardzo nieżyczliwe stanowisko względem Austryi, ze względu na to, że jako państwo katolickie zawarła przymierze z Włochami, że to skłoniło Austryą do protestu. Według innych cesarz austryacki Franciszek Józef osobiście podobno czuł urazę do kardynała *Rampolli*. Głoszą dalej, że rząd austryacki domagał się tej drażliwej misyi z początku od dwóch innych kardynałów: Niemca *Gruschy* i Węgra *Vaszarego*, lecz że obaj stanowczo odmówili, uważając taki protest za naruszenie wolności wyboru Papieża. Wówczas dopiero rząd austryacki zwrócił się z tem żądaniem do kardynała krakowskiego, który go *nie odrzucił*. Donoszą także, że kardynał Puzyna tym protestem zraził sobie całe kolegium kardynalskie do tego stopnia, iż po konklave nie chciano z nim obcować. Co się zaś tyczy osobistych motywów ks. Puzyny, to według pewnej niezaprzeczonej dotychczas wersyi skłonić go miało do podjęcia się tej misyi oparte na doświadczeniu przekonanie, że kardynał Rampolla, chociaż jest wrogiem Niemiec, *nie jest także przyjacielem Polaków*. Ile w tych wszystkich wersyach i pogłoskach prawdy, trudno dziś ocenić. Najlepiej więc na razie nie zaprzątać sobie głowy tą sprawą, lecz ufać Opatrzności, że dobrze dla kościoła i narodów katolickich pokierowała wyborem nowegoNamiestnika Chrystusowego. Dziwnym jednakże pozostanie fakt, że życzenia rządu niemieckiego — spełniły się w tym wypadku przez *kardynała Polaka*. Według zapewnień gazet niemieckich, fakt ten nawet w Berlinie wywołał pewne zdziwienie.

Przechodząc do spraw czysto świeckich zaczynamy od najważniejszej, która niepokoi dziś całą Europę, od sprawy *macedońskiej*. Powstanie w Macedonii przybrało rzeczywiście wielkie rozmiary. Krew leje się już strumieniami, codziennie zachodzą krwawe potyczki, codziennie obok strzałów działowych i karabinowych odzywa się straszny huk bomb dynamitowych, którymi powstańcy posługują się bardzo zręcznie. Przywódzcy i kierownicy powstania głoszą, że walczyć będą do ostatniej kropli krwi, *że nie cofną się przed żadnym gwałtem*, byle tylko zmusić mocarstwa do interwencyi na korzyść ludności bułgarskiej w tej dzielnicy. W dwóch miejscowościach przyszło też już do rzezi ludności. W *Kruszewie* powstańcy wycięli w pień *Turków*, w *Kiczewie* Turcy chrześcian bułgarskich. Dyrekcye kolei żelaznych w Macedonii wstrzymały na razie na wszystkich liniach ruch osobowy, ponieważ co chwila dopuszczano się zamachów dynamitowych na pociągi. Jak się to skończy, trudno na razie przewidzieć. Kwestya zawikłała się jeszcze bardziej przez zamordowanie konsula rosyjskiego *Rostkowskyego*. Stwierdzono podobno, że ten reprezentant Rosyi padł ofiarą własnej buty, bo miał zwyczaj obrażać i bić nawet niższych urzędników tureckich, że i w tym wypadku znieważył czynnie żandarma, który go zabił następnie. Turcya mimo to dała zupełną satysfakcyę Rosyi.

Naczelników władz w Monastyrze zdegradowano i złożono z urzędów, mordercę powieszono, innego żandarma, który mógł był przeszkodzić, a nie przeszkodził morderstwu, skazano na długie lata kaźni, wdowie po konsulu ofiarowano 400,000 marek, rząd rosyjski przeproszono. Ale i to zadośćuczynienie nie rozbroiło gniewu *Rosyi*. Prasa rosyjska wzywa głośno rządy i mocarstwa europejskie, ażeby nareszcie do reszty wypędziły barbarzyńców tureckich z Europy i oswobodziły jęczących jeszcze pod ich jarzmem Słowian i Greków. Słychać zaś także, że wkrótce odpłynie na wody tureckie *czarnomorska rosyjska flota wojenna*. Na razie ma to być tylko *demonstracya*, aby uprzytomnić Turcyi, co ją czeka, jeżli i nadal nie zdoła poskromić dzikich instynktów swych żołnierzy i swej ludności; jakże często atoli już z takich demonstracyi wywięzywał się krwawy taniec wojenny! W chwili, gdy to piszemy, rozchodzi się wieść, że i konsul rosyjski *Mandelstam* z Skoplii, jadąc do Bitolii (Monastyru) zamordowany został w drodze przez Turków. Jeżli wieść ta się sprawdzi, sytuacya jeszcze się zaostrzy.

Z drugiej znów strony *Bułgarya* czyha tylko na sposobność, ażeby przyjść w pomoc walczącym o wolność braciom. I nie ulega wątpliwości, że uderzy na Turków, skoro będzie miała pewność, iż za nią stanie Rosya. Wówczas zaś z tej sprawy wschodniej może powstać płomień, który ogarnie całą Europę.

Także na drugie większe państwo słowiańskie na Bałkanach, na *Serbią*, zwrócone znów były oczy całej Europy — wprawdzie z innych przyczyn. Na tym biednym kraju spełnia się teraz *przekleństwo złego czynu*. Król *Piotr* zbyt pohopnie wziął koronę z rąk spiskowców oficerów, splamionych krwią swego poprzednika, zbyt pobłażliwie oceniał niesłychaną ich zbrodnię. Stało się więc to, co mu ogólnie przepowiadano: stracił w ich oczach całą swą *powagę*. Spiskowcy spodziewali się, że król *nagrodzi* ich sowicie, za to, że utorowali mu drogę do tronu, że we wszystkiem słuchać będzie ich woli, że powierzy im najwyższe w państwie stanowiska. A gdy to się nie stało, zaczęli się buntować także przeciwko niemu. Doszło do tego, że bez ich zezwolenia nie mógł sobie wybrać nawet marszałka dworu! Ponieważ zaś po ich stronie stanęło także kilku ministrów, powstało *przesilenie gabinetowe*. W chwili, gdy to piszemy, przesilenie już skończone, dotychczasowy prezes ministrów *Awakumowicz* utworzył nowe ministerstwo, do którego w miejsce sprzyjających mordercom ministrów, weszło kilku „nowych ludzi'', nie splamionych tą zbrodnią. Nie ulega wątpliwości, że do tak szybkiego załatwienia sprawy przyczyniło się nie mało energiczne żądanie *Austryi i Rosyi*, które zajęły wrogie stanowisko wobec niesfornej serbskiej kliki wojskowej; ale mimo to niema gwarancyi, że powróci teraz w Serbii *ład i spokój*. Przeciwnie, powtórzą się zapewne znów knowania i spiski. Nad tronem nowego króla rychło już zawisło krwawe widmo strasznej śmierci jego poprzednika. Tak to mści się każda pobłażliwość dla zbrodni i zbrodniarzy. Uczciwi patryoci serbscy ubolewają nad tem bardzo, tem bardziej, że właśnie teraz wypadki na Bałkanie wymagają od Serbii skupienia i siły wewnętrznej.

W Austryi i na Węgrzech położenie nie zmieniło się dotychczas. Rozwiązanie przesilenia ma nastąpić w bieżącym tygodniu, ku czemu cesarz Franciszek Józef osobiście udaje się do stolicy węgierskiej.

W *Niemczech* nie spełniły się przewidywania, iż ubiegły tydzień przyniesie dymisyą kilku od razu ministrów. W piątek odbyła się w Berlinie zapowiedziana *rada koronna*, ale na tej Radzie zajmowano się podobno tylko sprawą szkód, wyrządzonych przez powódź. Jedynie minister wojny generał *Gossler* ustąpił teraz ze swego stanowiska lecz to nie była niespodzianka, gdyż już od trzech miesięcy bawił „na urlopie'' i wiedziano ogólnie, że już z niego nie wróci na swoje krzesło w gabinecie. Zapisał się on w naszej pamięci bardzo nieszczególnie, nawet *boleśnie*. On to przeniósł hecę hakatystyczną także do armii i tolerował a nawet wprost nakazywał bojkotowanie polskich przedsiębiorstw. Tak samo wrogie względem Polaków stanowisko,

zajął w znanych procesach młodzieży polskiej, przyczem wydażył mu się przykry wypadek, że odwołał się na fałszywy dokument, co dosadnio napiętnował poseł nasz p. *Głębocki*. Przyczyną jego upadku nie jest naturalnie jego zachowanie się w sprawach polskich. To go tylko podtrzymać mogło, lecz jest nią jego *nieudolność wobec parlamentu*. Rząd, jak wiadomo, zamierza „uszczęśliwić" ludność i parlament nowemi żądaniami *na wojsko*. Ponieważ zaś w obecnym parlamencie żądania te napotkają na jeszcze ostrzejszy opór, niż byłyby napotkały w poprzednim, przeto do ich przeprowadzenia potrzebuje rząd *mędrszej* głowy i wymowniejszych ust. Zaletami temi ma się odznaczać następca Gosslera, nowy minister wojny gen. von *Einem*. Czy zdoła spełnić rzeczone zadanie, o tem przekonamy się za kilka miesięcy. Niedorzecznością naturalnie byłoby, gdybyśmy się po nowym ministrze spodziewali innego, *bezstronniejszego* stanowiska w stosunku do nas. Pod tym względem się nic nie zmieni na lepsze, niejedno zaś zmienić się może na gorsze. Lecz z tem chyba już się pogodziliśmy. Zresztą to obostrzanie systemu germanizacyjnego niezbyt nam szkodzi. Przeżyliśmy p. Gosslera, to przeżyjemy także p. von *Einem*. On rychlej się znuży, niż my, bo w nas siła, która cuda tworzy: wiara w lepszą przyszłość narodu naszego, w pomoc Bożą i własne siły!

K. O.

Przegląd prasy.

„Niema złego, któreby ostatecznie na dobre nie wyszło" — twierdzi stare przysłowie. I zdaje się, że znów się sprawdzi. Ostatnie sromotne wypadki sprzedaży ziemi ojczystej komisyi kolonizacyjnej wstrząsnęły do głębi społeczeństwem naszem. Opinia publiczna była u nas już pod tym względem trochę znieczulona, i to widocznie ośmieliło rozmaite „słabe dusze" na zagonie polskim. Dalej stanowczo za mało czyniono w kierunku nietylko utrzymania naszego stanu posiadania ziemi, ale także w kierunku chociaż częściowego powetowania strat dawniejszych. Teraz zmieniło się to nagle na lepsze. Opinia odżyła, a równocześnie pojawiają się w *prasie* coraz nowe praktyczne projekty i pomysły ratowania ziemi z obcych szponów. Pojawiła się na nowo myśl tworzenia *związków rodzinnych* w celu rozciągnienia ściślejszej kontroli nad młodem pokoleniem ziemiańskiem i zabezpieczenia dóbr, należących jeszcze do polskich rodzin szlacheckich. Równocześnie wystąpiono z projektem nabywania ziemi *na akcye*. Niemałe też poruszenie wywołał pomysł *„Dziennika Berlińskiego"* wydania *„Czarnej księgi kolonizatorów czyli sprzedawczyków."* Pomysł ten napotkał na dość życzliwą ocenę w naszej prasie. Uląkł się go jedynie *„Czas"* krakowski; prawdopodobnie ze względu na panoszących się w wyższych sferach Galicyi rozmaitych sprzedawczyków zarówno z pruskiego jak i rosyjskiego zaboru. Organ konserwatystów krakowskich przeraził się mianowicie zapowiedzi *„Dziennika Berl."* iż ocenę materyału do *„Czarnej księgi"* powierzy przezacnemu p. Maksymilianowi *Jackowskiemu*. Przez to bowiem wydawnictwo takie zyskałoby na powadze i nie można by go posądzać o zwykłą „tromtradacyą." Czas zapewnia więc, że pan Maksymilian Jackowski zadania tego się *nie podejmie* — lecz w tem „zapewnieniu" brzmi właściwie tylko *życzenie*, aby tak się stało.

Inaczej zapatruje się na tę sprawę *„Kuryer Poznański."* Nie godzi się on na ryczałtowe potępienie wszystkich którzy ziemię swą sprzedali komisyi, zaleca ścisłe odróżnianie bardziej winnych od mniej winnych, po za tem atoli pisze:

„Proskrypcya każda jest ostatecznością — ale rzeczpospolita jej chwytać się musi, gdy zagrożony jest jej byt. Nasz byt jest zachwiany tak, iż nasi rodacy z innych zaborów porównują Wielkopolskę z tonącym okrętem, którego luki część załogi — jak może — zatyka.

„Cóż więc zrobić z tymi, którzy w takiej chwili, gdy chodzi o uratowanie i nawy całej i załogi, dla własnej przyjemności lekkomyślnie odrywają deski z tułowia okrętu, podczas gdy inni najmniejsze luki z poświęceniem swego życia dla miłości dobra ogółu zatykają! Szaleńców takich ci, którzy kierują sterem i okrętem, każą wrzucać w morze, w najłagodniejszym zaś razie wiąże ich się i czyni nieszkodliwymi.

„I nasze społeczeństwo zagrożone w swoim bycie inaczej uczynić nie może, jak że szaleńców nie szanujących ciała własnej ojczyzny skrępuje moralnie i uczyni ich martwymi, aby nie mogli dalej szaleć i innych zarażać swem szaleństwem."

Podobnemi względami kieruje się dzielny obrońca ofiar *wrzesińskich*, p. mecenas *Woliński*, który w *„Dzienniku Poznańskim"* ogłasza imiennie dłuższą rozprawę w tej sprawie. I on zaleca odróżniać tych, którzy zaprzepaścili zagon ojczysty z chciwości, marnotrawstwa, braku wszelkich uczuć polskich od tych, którzy uczynili to z musu, pod presyą nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, ażeby chociaż coś ocalić dla rodziny.

„Może mi niejeden na to powie — pisze dalej p. mecenas — że to bardzo trudno odróżnić, kto z własnej winy przyszedł do tego, że sprzedał swój majątek kolonizacyi, a kto nie z własnej winy. O! nie prawda! Społeczeństwo zna swoje jednostki i bardzo dobrze to rozezna i ocenić będzie umiało, komu się należy znamię Kaina na czoło, a kogo można łagodniej sądzić! Sprzedaż ziemi w ręce wrogie *jest ciężką zbrodnią*, grzechem śmiertelnym. Tak jak sędzia wie, czy zbrodniarzowi przyznać należy okoliczności łagodzące i nie odejmować mu praw honorowych, obywatelskich — jak kapłan przy konfesyonale wie, komu mimo popełnienia ciężkiego, śmiertelnego grzechu można jeszcze dać rozgrzeszenie — tak i społeczeństwo jest o tyle dojrzałe i tak ma wyrobione sumienie narodowe, że dobrze będzie wiedziało, kogo z tych, co ziemię w ręce obce sprzedali, uznać za zbrodniarza bez czci i wiary i odtrącić go od siebie, a dla kogo okazać się pobłażliwym. Nic tu „Czarne księgi" nie pomogą, jeśli społeczeństwo samo nie okaże się sprawiedliwym, ale surowym sędzią!"

Pohop do zabrania głosu w tej sprawie dał p. Wolińskiemu inny artykuł, jaki się pojawił również w „Dzienniku Pozn." podpisany literami *„Ks. St. K."* Autor tego artykułu, zacny kapłan, apeluje przedewszystkiem do tych, *którym fortuna nie poskąpiła grosza*, aby ratowali ziemię ojczystą. Do tych zalicza w pierwszym rzędzie tych magnatów naszych, którzy wielkie swe kapitały zamiast w naszych bankach i instytucyach parcelacyjnych lokują w bankach zagranicznych; dalej tych, którzy zarobili w ostatnich latach krocie na spekulacyach z gruntami podmiejskiemi w Poznaniu. Jest on wogóle zdania, i to słusznie, zupełnie, że ziemię ratować winni *nietylko ziemianie ale wszystkie stany, o ile stać je na to*. Tę myśl rozprowadza szerzej w swej rozprawie p. mecenas Woliński i tak pisze w końcu:

„Krytyka ostra, piorunujące artykuły, plany i pomysły, w jaki sposób na wieki napiętnować sprzedawczyków — wszystko to jest zrozumiałe, ale są to objawy i wybuchy boleśnie zranionego serca — na razie i potrzebne, bo świadczące o tem, jak społeczeństwo odczuwa głęboko ranę, którą mu się zadaje, ale trzeba przecież i pomyśleć o środkach zaradczych, *a do tych przedewszystkiem należy, by wszystkie stany i zawody bez wyjątku, wzięły się do tego, żeby obmyślić środki jakiemi w możliwych granicach dalszemu ubytkowi ziemi zapobiedz.*"

Myśl to naszem zdaniem zdrowa, a dałaby się zrealizować właśnie sposobem nabywania *ziemi na akcye*.

Wogóle, jeźli dyskusya w tej tak piekącej dla nas sprawie pociągnie się dłużej w dotychczasowy poważny sposób może wydać dużo dobrego zarówno

pod moralnym jak i materyalnym względem.

„Kuryer Poznański“ który mimo zmiany redakcyi i tendencyi od czasu do czasu jeszcze wypowiada zdania wcale rozsądne, popada niestety w pewien rodzaj serwilistycznego rozdrażnienia, gdy w jakikolwiek sposób zagrożone są *polityczne* interesy lub polityczna rozmowa którego z jego *protektorów.* I tak teraz dostał nowego takiego ataku na wieść, że w *Opalenicy* ma się odbyć w dniu 23 bm. *wiec wyborców powiatu grodziskiego* w celu wyjaśnienia uczynionego czasu swego przez księcia *Zdzisława Czartoryskiego* powiatowi temu zarzutu *przekupstwa* przy wyborach. „Kuryer“ uważa to zebranie za „niepotrzebne, dziwne i niefortunne“ ponieważ jego zdaniem sprawa jest już załatwiona przez znane orzeczenie czterech prezesów komitetów wyborczych. Na to słusznie odpowiada *„Goniec Wielkopolski:“*

„Książe pan nie przed prezesami komitetów wyborczych podniósł zarzut przekupstwa — lecz publicznie, w prasie! Zatem sprawa nie pokątnie, nie tajemniczo, lecz publicznie traktowaną być *musi*, bez względu na to, że „Kuryer“ twierdzi, iż już samo zwołanie wieca uważać należy za osobistą obrazę nie tylko ks. Czartoryskiego, ale i 4 prezesów komitetów wyborczych.

„Kto kogo w całej sprawie obraził, powinno się wykazać, a wykazać się może jedynie na drodze publicznej. Zarzutem przekupstwa księcia Czartoryskiego czują się do żywego obrażeni wyborcy, którym p. dr. Żuchowski, wtajemniczony w sprawę jako prezes komitetu, odmówił wszelkich wyjaśnień, choć odnośni 4 prezesi przyznali ks. Cz. słuszność jego zarzutów.

„W ciuciubabkę w sprawach publicznych bawić się nie można — prawda musi wyjść na wierzch jak oliwa — a gdy ją pewni ludzie będą chcieli zachachulić, to ich należy odpowiednio napiętnować.“

„Orędownik“ pisze zaś w tej samej sprawie co następuje:

„Słusznie pisze „Kuryer“, iż na zebraniu przedłożone być mogą tylko te same dowody, które mieli w ręku panowie prezesowie. Toć to jest jedynem żądaniem i jedynym celem zapowiedzianego wieca. Właśnie długie ociąganie się z wyjaśnieniem tych okropnych, aż prokuratorem pachnących dowodów, każdego myślącego człowieka zastanawiać musi. Bo po wywnętrzeniach ks. Czartoryskiego, trzeba być w ciemię bitym, aby choć na chwilę przypuszczać można, że wstrzymywał on się z opublikowaniem swego dowodowego materyału jedynie z miłości dla wyborców powiatu grodziskiego, których już poprzednio kilkakrotnie niezbyt pochlebnemi obdarzył przydomkami.

„Pojmujemy bardzo, że „Kuryer“ wyniku wieca się obawia, bo łacno z niego przekonać się może, że obrona praw pokrzywdzonego obywatelstwa inaczej się wykonuje, jak on to dotychczas zwykł był czynić.“

„Gazecie Gdańskiej“ przyszła dziwna ochota propagowania zgody z *Centrum,* jak gdyby zgoda tu w narodowych naszych sprawach z tem stronnictwem wogóle była możliwa — a dla nas w czemkolwiek pożyteczna. Na szczęście znalazł się wśród jej własnych Czytelników człowiek rozważny, zdaje się *kapłan,* który w czas przestrzegł ją przed tak niefortunnym porywem. Podaje jej taką odprawę:

„Przecież piszecie sami, że w rozłące od centrum, przyszliśmy do samodzielności, zyskaliśmy ogólny szacunek i powagę, a równocześnie radzicie zbliżyć się znów do centrum? Czy na to, aby tak bogaty dorobek znowu utracić? Zaiste, tym razem „Gazety“ nie pojmuję! Bogu dzięki, żeśmy się z uścisków centrowych wyrwali; centrowcy nas jakoby niezgrabnych niedźwiedzi za nos wodzili; wyrwawszy się, z zakrwawionemi nosami, mamy się do nich znowu zbliżyć? — Tego wymagają, piszecie, nasze polskie ideały i zimny obrachunek rozumny. — Czy na to, aby nam na nasze głupie a dobroduszne „banie“ na nowo kaganiec włożyli i ostatecznie do niemieckiej Kanossy zaprowadzili, co? Slicznie za to dziękujemy! Dzisiajsze centrum jest nie tylko „zimnym“ przyjacielem naszym, lecz jako sojusznik rządu, naszym zajadłym wrogiem politycznym; tysiączne na to dowody w Księstwie, w Prusach, na Śląsku, w rewerendzie i fraku.

„Wolę jawnego wroga widzieć i z nim sam z pomocą Boską się borykać. Walczmy sami, Bóg zwycięży przez nas, choć zewsząd opuszczonych, aby świat zawstydzić! Pamiętajmy, że nigdy nie był i nigdy nie będzie przeciętny Niemiec Polakowi bratem. Oni walczą przeciwko nam nie z odkrytą, lecz najczęściej z zakrytą przyłbicą. Oni serca swego do nas nigdy nie zmienią, chyba sposób walki. Im więcej się Niemiec do nas słodko uśmiecha, tem niebezpieczniejszym jest.“

Do tych słów korespondenta „Gazety Gdańskiej“ dodać tylko możemy: święta prawda! i gromko im przyklasnąć.

„Wielkopolanin“ przypomina znów dawniejszy projekt p. *Krzystoporskiego* z Dobczyna, dotyczący zakładania *związków chłopskich u nas* celem obrony interesów rolnictwa i zachęca do zrealizowania tego projektu. Na to trudno się zgodzić! Przeciwnie, co do nas, uważamy takie związki w naszem położeniu za wprost *szkodliwe,* jako nowy czynnik wewnętrznej niezgody. Dla obrony rolnictwa wystarczają nasze Kołka rolnicze. Autorowi tego pomysłu nie chodzi tu tyle o „interesy rolnictwa“ ile o wpływ na *wybory.* — W tym samym numerze przytacza „Wielkopolanin“ anons pewnego Niemca, (Koschmiedera z Przytoczniey), polecającego jako nowy środek *przeciwko Polakom — seradelę* — niby obniżającą ceny produktów rolnych. „Wielkopolanin“ opatruje ten anons następującą uwagą:

„Krzyżacy tępili ludność polską ogniem i mieczem — dzisiejsi Krzyżacy inną znaleźli broń — seradelę.

„Jestto smutny, ale zarazem śmieszny obłęd, jakiemu kulturnicy nasi ulegają — a wszystko to dzieje się skutkiem jadu nienawiści, jaką zaszczepił w nich Bismark.

„Dziś nas uważają za niższą niedołężną rasę, którą w imię cywilizacyi pruskiej należy wytępić. Nam, broń Boże, nie wolno na naszych zebraniach rolniczych potrącić o politykę pod grozą ich rozwiązania — im wolno na zebraniach głosić sposoby jak najprędszego jej uwinięcia.“

„Gazeta Toruńska“ zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, grożące *polskim towarzystwom* z tej przyczyny, że restauratorzy i hoteliści Niemcy odmawiają im sali na zebrania. Jedynym na to jest jej zdaniem:

„Dla naszych towarzystw będziemy sobie budowali po wsiach i miastach skromne salki, na zebraniach i zabawach *pić nie będziemy* ani wódek, ani piwa, ani wina, a więc bez konsensów się obędziemy, za to tem więcej pracować będziemy nad podniesieniem dobrobytu i oświaty narodowej. Nam się zdaje, że tu Opatrzność, czuwająca nad nami prowadzi nas sama na drogę zbawienia, bo drogą zbawienia byłaby zupełna wstrzemięźliwość narodu polskiego i że do dzieła tego odrodzenia przyczyni się zaślepienie, szowinizm niemiecki i hakatyzm, ten sam, któremu już niejedno dobre zawdzięczamy.

„Hasłem naszem powinno więc być: *nie uczęszczajmy do knajp i restauracyi,* zbierajmy fundusze na budowę własnych sal! Za pieniądze, które rok rocznie wydajemy na wino, piwo i wódkę, moglibyśmy w każdej wsi i w każdem miasteczku wystawić w krótkim czasie pałace dla naszych towarzystw.“

Hakatyści — jak wiadomo, ogromnie oburzyli się o to, że Np. ks. Arcybiskup *Stablewski* w ostatnim swym liście pasterskim wydanym z powodu zmiany na tronie Piotrowym wspomniał o pielgrzymce polskiej w roku 1893, podczas której

„Ojciec św. przemówił tak wspaniale do narodu polskiego, który przez tyle wieków był przedmurzem chrześcijaństwa i krew swą przelewał za wiarę na tylu pobojowiskach, a którego cząstkę znaczną stanowi nasza dyecezya.“

Bezczelność hakatystyczna śmie wobec tego przypomnieć Np. ks. Arcypasterzowi *przysięgę* złożoną w ręce *króla pruskiego.* Na to trafnie zauważa *„Lech“*:

„Na takiem stanowisku wobec narodu każdy biskup i arcybiskup stanąć musi, *to jego obowiązkiem,* bo on musi być pasterzem powierzonej sobie

przez Chrystusa trzody, jemu nie wolno być najemnikiem chociazby jeszcze i większa sfora hakatystyczna szczuć miała na niego i powierzoną jemu trzodę, chociażby jeszcze większe prześladowanie na jego owieczki spaść miało.

„Wśród tej szalonej walki duchów poprzyjmy gorącą modlitwą naszego Arcypasterza, aby mu Bóg dodał sił do zniesienia tych przeciwności, my zaś wszyscy jak jeden mąż bronić będziemy odwiecznych skarbów naszych, języka ojczystego i wiary naszej świętej.“

Red.

Głosy od Przyjaciół.

Gdańsk, 15 sierpnia 1903.

Sprawa czysta, sprawiedliwa, idealna i chrześciańska, chociaż może czasami być długo i bezprawnie deptaną i gwałconą, to jednak zawsze zwycięża. Tak i sprawa ludowa, która przeszło już sto lat walczy o swe prawo i równouprawnienie dla wszystkich stanów, dziś już idzie w pochodzie zwycięzkim, a w przyszłości znajdzie zwycięztwo.

Dziś jeszcze stary konserwatyzm, chce pozostać przy swoich dawnych zwyczajach i tradycyach, nie licząc się z postępem czasu, chce tłumić i gwałcić wolę i życzenia ludu, jakto widzieliśmy na ostatnim zjeździe centralnego komitetu i delegatów w Grudziądzu. Ale naród, obrażony w swych uczuciach i pokrzywdzony w swym prawie przez nielegalne i samowolne postawienie kandydatury p. Sikorskiego w okręgu tucholsko-chojnickim, wbrew najwyraźniejszej woli wyborców tegoż okręgu dał wyraz swemu oburzeniu przez wybór tego posła, którego sobie życzył. Stojąc na stanowisku, że wybór posła do parlamentu, jest wyłącznie prawem powiatu, a nie centralnego komitetu, który ma tylko prawo sankcyonowania woli wyborców, popierałem według możności wybór kandydata ludu, a za to spotkała mnie ze strony „Pielgrzyma“ brutalna i wprost uliczna napaść.

„Pielgrzym“ widząc się odosobnionym w swej niemocy, a nie mogąc mi nic innego zarzucić, robi krok rozpaczliwy i w nr. 84 pisze, żem „człowiek nikczemny albo słabiutka głowa.“

Oto przykład jak „Pielgrzym“ w braku argumentów zwalcza ludzi, którzy są odmiennego zdania. Broń taka, względnie napaść na mnie zwraca się sama przeciwko redaktorom „Pielgrzyma“ i jego sprzymierzeńcom. A że poczucie mej godności, nie pozwala mi tej samej broni używać, przeto pozostawiam tę broń „Pielgrzymowi“ i jego sprzymierzeńcom.

Satysfakcye mam w tem, że krytyka narodowa i opinia publiczna (z wyjątkiem niknącej liczby przeciwników) stoi za mną i za sprawą, którą popierałem, a opinia i krytyka całego narodu o całe niebo więcej dla mnie znaczy, niż krytyka „Pielgrzyma.“

I. Czyżewski.

* * *

Bitterfeld, d. 16. 8. 1903

Kochana „Praco!“

Zaprawdę możemy powiedzieć z poetą: „My już bez skargi nieznamy śpiewu — wieniec cierniowy splótł naszą skroń.“

Nie dosyć, że wrogowie wydzierają nam nasze najdroższe skarby, a więc mowę ojczystą i wiarę św., ale dziś tak daleko doszły rzeczy, że duchowieństwo katolickie z Niemców złożone, z kardynałem Koppem na czele pragnęłoby nas zniemczyć, bo tego sobie życzy rząd pruski i hakata.

Gdy walka kulturna w Prusiech się toczyła, duchowieństwo chronić się musiało — od pruskich pikelhaubów i od urzędników. A któż to duchowieństwo chronił, kto go bronił, jeżeli nie lud polski? Bo wtenczas kapłani i lud stanowili jedność, bo walka z duchowieństwem była walką z ludem katolickim, szczególnie zaś polskim.

Dziś ustała walka kulturna tj. walka rządu pruskiego z Kościołem, ale powstała walka ludu polskiego z kapłanami, którzy stanęli po stronie rządu.

Jak już donoszono ztąd wykluczono towarzystwa, a raczej ich sztandary z kościoła, bo są socyalistyczne (?) heretyckie (?), jednem słowem dlatego, że są *polskie*.

A tymczasem te radykalno-polskie czy (socyalistyczno-heretyckie) towarzystwa zamówiły wspólną mszą św. na 26-go lipca na intencyą ś. p. Ojca św. Leona XIII. i o dziwo ksiądz przyjął pieniądze od takich towarzystw.

Więc byliśmy tej myśli, że i sztandary nasze będą mogły podczas mszy św. asystować, lecz rozczarowanie nie miało granic, gdy z ust kapłana w zakrystyi posypały się słowa i *wyzwiska*, że z takiemi socyalistycznemi chorągwiami nie wolno brać udziału w kościele.

Jeszcze tow. św. Barbary z Bitterfeldu, oraz Serca Jezusowego z Sandersdorfu były tolerowane, ale nie tow. *Sobieskiego* z Bitterfeldu, ani tow. św. Franciszka z Greppinu (w tym ostatniem dzielnie pracuje wierny abonent „Pracy“ i „Wiarusa Polskiego,“ dlatego znienawidzony przez księży. Jest nim zacny i zasłużony rodak Franciszek Mrozek.)

A w „Sobieskim“ pracuje dzielnie i mężnie pan Pieszot, który naszą kochaną „Pracę“ tu rozszerzył.

Tak więc pieniądze to oni brać umieją, a nas nie cierpią i ani na nas patrzeć nie mogą.

Po mszy św. odmówił ks. *Schäfer* trzy Ojcze nasz i Zdrowaś za szczęśliwy wybór Papieża, a lud zebrany oprócz kilku Niemców i dzieci szkólnych, (które są polskie) odpowiadał część modlitwy *po polsku*.

Czwarte Ojcze nasz (tak jakby to z góry było ułożone) odmówił kapłan po polsku.

Po skończonej Mszy św. staje w groźnej postawie na ambonie ks. *Gerwin* i jak niezacznie wymyślać i lżyć Polaków, za to, *że po polsku odmawiali Modlitwy. Mówił: „das ist eine Unverschämtheit u. Frechheit sonder gleichen hier polnisch zu antworten und bitten. Das ist eingrober Unfug in der Kirche.*

Ein deutscher Katholik „macht so etwas nicht“. Było ich zaledwie pięciu w kościele.). Das passirt mir nicht zum zweiten male; das verbiete ich“.

Zakazują nam się modlić w Domu Bożym zbudowanym za nasze *polskie grosze* i na mszy zakupionej przez Polaków. Tak jak cegłę na cegłę kładliśmy, zbieraliśmy grosz do grosza, ujmowali sobie od ust aby tylko ten dom dla Pana Niebios stanął. Iluż to pomagało przy pracach ziemnych? Prawie całe noce pracowano, że dziś jeszcze na rękach znać ślady od tej pracy?

A w nagrodę za te prace, za czyny, za te fenygi nasze nie wolno nam się modlić po polsku w Kościele. Nie wolno mówić tego naszego Paciorka bo — dzieci nasze, ta krew z krwi naszej polskiej otruły by się od tego pacierza.

Modlitwa zaś w ojczystym języku krzepi nas i dodaje sił. Świątynia Boża jest to miejsce, gdzie wszystkich ludzi z równą sprawiedliwością obdarzać trzeba. Choć gdzieindziej nam nie pozwalają,tam uszanować powinni wolę Bożą i uznać Jego wszechmoc, bo On tak jak niemiecki stworzył i polski język, który z tym ostatnim na równi stoi.

Więc ks. Gerwin w zapędach swych dalej idzie niż nasi najserdeczniejsi. Ks. Gerwin gdyby stanął obok zagorzałych hakatystów, to by im wcale ujmy nie zrobił a oni by mu rękę uścisnęli i życzyli, aby go obdarzono pruskim orderem. A gdy tłusta zawakuje posada, nie trzeba zapomnieć o dzielnych bohaterach pruskiego Vaterlandu jakimi są germanizatorzy w sutannie: ks. Gerwin i ks. Schäfer.

Ludu polski nie daj się za nos wodzić! Owi księża to przecież nie *święci*, i oni mają wady i to jeszcze bardzo wielkie. Na te słowa zakazu Modlitwy Pańskiej nikt z nas nie powinien ba-

czyć, a nawet nie wolno. Należy głośno zawsze i wszędzie sławić — Pana Boga w *ojczystym języku*, bo tego od nas żąda sam Bóg.

Rodacy i Rodaczki! W imię sprawy i w imię Ojczyzny, a niemniej dla dobra naszej św. wiary i kościoła proszę Was — śpiew polski rozpowszechniać oraz pielęgnować w domach i nim krzepić tę naszą polską dziatwę, aby swego poczucia narodowego nie zatraciła.

Jeden z tych Krzyżaków nowoczesnych w sutannie, powiedział w zakrystyi, że kardynał Kopp już tam w Rzymie powie, że Polacy nie są katolikami, lecz heretykami i socyalistami. Ale to brednie!

Więc choć nas prześladują własni pasterze, którzy naturalnie z obcej i dla obcej przeznaczeni są trzody, to chodząc do przybytku Pańskiego módlmy się za nich, i módlmy się, abyśmy w osobie Ojca chrześciańskiego dostali przyjaciela i orędownika jakim był Pius IX. Próżne są zakusy ks. germanizatorów. Wy nas tu z okolic Bitterfeldu nie zniemczycie, a do waszych Vereinów ani Vaterlandów my *nie* wstąpimy.

Chętnie dawalibyśmy na kościół, i zawsze was szanowali jako Niemców, gdybyście nie byli powiedzieli, że waszym „obowiązkiem jest popierać — germanizacyę.“

Czyż do takiego księdza można mieć zaufanie? Czyż duchowny, któremu modlitwa polska zawadza, który nawet przeciw ustawie i zasadzie kościoła św. i woli Boga pracuje — godzien jest, aby go szanowano? Ale my Polacy i katolicy o tyle uczcimy kapłanów, że i tu mamy pewne poszanowanie dla sukni kapłańskiej.

W końcu donoszę, że rozrzucają tu u nas „Przewodnika na obczyźnie,“ pismo centrowców z Dortmundu. Więc starajmy się, aby nasz ludek polski nie trzymał centrowych blatów.

Przez pana Lensinga „Przewodnik“ z Poznania traci abonentów, bo ks. Schäfer powiadał, że ma 50 abonentów dla „Przewodnika na obczyźnie,“ a to nie są inni, tylko twoi abonenci „Przewodniku“ z Poznania, a za swoje wysługiwanie się germanizatorom dostajesz taką z ich ręki zapłatę!!

W. N.
Wierny czytelnik „Pracy.“



Na sam początek powinienem się uniewinnić, że piszę wogóle kronikę z Poznania — w czasie, kiedy każdy szanujący się obywatel bawi u wód lub na letniem mieszkaniu. Proszę nie posądzić mnie o brak dystynkcyi i znajomości form,które coraz bardziej wkradają się do nas w miarę, jak Poznań staje się stolicą wielkoświatową. To tylko dawniej poznański obywatel urozmaicał sobie tem sezon letni, że rano odbywał spacer na plantach lub zielonych ogrodach. Obecnie wyjeżdża się: do wód lub do krewnych na wieś. Ci krewni wyglądają nieraz, że Boże zmiłuj się, — ale nie każdy ich zna, — a zawsze brzmi to prześlicznie: „byłem u krewnych na wsi.“ Niech ludzie myślą, że to magnaci litewscy!

Otóż i ja, chcąc zachować prawo do tytułu dystyngowanego człowieka, — wyjechałem do krewnych na wieś. — Ale bawiłem niedługo. Deszcz i deszcz. Zboże na polu moknie; jęczmień pożółkł i rośnie, barometr spada uparcie, mina gospodarza wyglądała tak, że go z zasady omijałem. Jedyne szczęście, że rzeka była daleko i tak uniknęliśmy powodzi. Jednakże ponieważ nudy na wsi prawie jeszcze gorsze niż nudy w mieście, — zabrałem się i wróciłem.

Dzisiaj żałuję przedwczesnego powrotu. W Poznaniu bowiem takie pustki, że dla urozmaicenia chwil samotnych uczę się monologów. W „Domu“ gra coprawda kapela północnych gości, — ale gra jak na „północnych“ przystało: ospale, ozięble i nudnie. Uciekłem z „koncertu“ — i byłbym poszedł na spacer, gdyby nie strach przed spotkaniem z kolonizatorami, od których w Poznaniu się roi. Niech Pan Bóg broni! Przyszła na nas ta szarańcza jak istna plaga egipska, — i jeżeli pomysłowy jaki drogerzysta nie wynajdzie szybko bardzo silnej trucizny na szczury lub innego perskiego proszku, nie będzie można się na ulicy pokazywać bez klapki na muchy — i sublimatu. Prasa nasza zabiera się po długim śnie do desinfekcyi. Szkoda, że tak późno. Trzeba było dawniej nazwać łotra po imieniu. Obecnie się ten ród rozplenił i trudno go wytępić. — A tak bezczelny, że wkrada się do domów porządnych i je bezcześci.

Z tych smutnych rozmyślań obudził mnie widok pięknej znajomej, której nie widziałem oddawna.

— Dzień dobry Pani. Pani już w Poznaniu? Jeżeli się nie mylę, miała Pani łaskawa wyjechać do Zakopanego.

— Do Kolobrzegu chce Pan powiedzieć. Otóż byłam i wróciłam wczoraj.

Uczułem delikatne ukłucie w piersiach. Kiedyż nauczymy się szanować własne cuda i przestaniemy bogacić obce kieszenie?

Po chwili moja piękna podała mi rękę:

— Do widzenia Panu; mam sprawunki.

Pożegnałem ją — i zniknęła mi w bramie domu Barascha.

Tą razą uczułem silny ból. — Szarańcza, szarańcza! Deklamatorki na patryotyczną nutę. Boże, ileż to potrzeba perskiego proszku.

Ali.

Floryan

ze zmiłowania Bożego i św. Stolicy Apostolskiej łaski

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

tejże Stolicy Apostolskiej Legat urodzony
itd. itd.

Duchowieństwu i wiernym

obu archidyecezyi

pozdrowienie i błogosławieństwo Arcypasterskie w Panu

(Dokończenie).

W ślady idąc Boskiego Mistrza szczególniej maluczkich tego świata troską i opieką swoją otaczał. Ubogim, pracującym, robotnikom opiekunem był, słabszych prawa mężnie broniąc. Co jednak największą chwałę papieża tego stanowi, to jest odwaga, z jaką przystąpił, i mądrość, z jaką rozwiązał tak nazwaną kwestyę socyalną. Encyklika jego „Rerum novarum“ pozostanie na zawsze pochodnią gorejącą, co oświecać będzie umysły a zagrzewać serca ku pracy nad ochroną robotnika i polepszeniem jego bytu, co regulować będzie obowiązki pracujących i pracodawców. Biskupów i kapłanów nieustannie do zajęcia się tą sprawą zachęcał. To też *papieżem robotników* nazywany bywał... Najchlubniejszą pamiątką jego sławy pozostanie pomnik, który mu wdzięczność katolickich robotników wystawiła, w którem to dziele także Towarzystwa naszych robotników wzięły udział.

Z miłością wielkiego serca łącząc rozwagę umysłu nader przezornego Leon XIII, zachowując we wszystkiem,

to czynił, godność apostolską a mądre umiarkowanie, zyskał miłość i zaufanie narodów całego świata a szacunek i poważanie wszystkich monarchów. Gdy obchodził dwukrotnie gody jubileuszowe, cała Europa zdawała się świętować. Książęta składali lub przesyłali życzenia i podarki — a ludy ze wszystkich stron świata spływały do Rzymu. On zaś jako Jakób patryarcha cieszył się i dziękował Bogu, że przy schyłku życia mógł jeszcze raz zgromadzić koło siebie dziatki swoje ze wszystkich narodów. Choć wiek i praca siły jego wyczerpały, pragnął wszystkich do siebie przypuścić i po raz ostatni im pobłogosławić. O jak rzewne wynieśli wspomnienie pielgrzymi — także naszych mianowicie dyecezyi. Ze wzruszeniem najgłębszem pamiętać będą jak Ojciec św. odstępując od zwykłego sposobu przyjmowania pielgrzymek, każdego naszego pielgrzyma z osobna przygarniał do siebie i do serca przyciskał. Trudno Mi bez łez o tem wspomnieć z jaką troskliwością dopytywał się o Mnie, któremu cierpienie nie pozwoliło przewodniczyć pobożnej do Rzymu pielgrzymce. Jakże mam Mu się wywdzięczyć, gdy przesyłając mi pozdrowienie zaręczał, że modli się za Mnie, że kilkakrotnie mszą św. za Mnie ofiarował. Za te osobliwsze dowody łaski i życzliwości, okazywane Mi stale od *pierwszej* chwili objęcia rządów Arcypasterskich, a mianowicie w tych ostatnich czasach, nie mogę inaczej wyrazić głębokiej wdzięczności mojej, jak prosząc was ukochani dyecezyanie Moi, abyście się w gorącej ze mną łączyli modlitwie za duszę ś. p. Papieża Leona.

Trudy roku jubileuszowego nadwyrężyły widocznie siły świętego Starca. Choroba ciężka powaliła go na łoże, z którego już nie powstał. Jak przystało na następcę Piotra św. oczekiwał śmierci z majestatem spokoju podziw budzącym, z wielką pogodą umysłu i poddaniem się woli Bożej. Jak tu na ziemi do końca troszczył się o rządy Kościoła, jak zabezpieczyć się starał jako ojciec najlepszy spokój i dobro, tak tam w niebie niechaj będzie odtąd naszym orędownikiem u tronu Bożego. Niech duszy jego wyjdzie naprzeciw Przeczysta Dziewica, *Królowa Różańca św.*, której cześć i chwałę po całym rozniósł świecie wierzącym, niech *Michał Archanioł*, którego imię przeciw nieprzyjaciołom Kościoła św. wzywać kazał, wprowadzi go do raju Bożego, niech mu towarzyszy w tryumfalnym pochodzie *poczet onych błogosławionych*, których imiona w kanon Świętych Pańskich zapisał, *a Duch św. Pocieszyciel*, którego łaski dla jedności Kościoła chrześcijańskiego upraszał, niech zleje na duszę Leona potok rozkoszy niebiańskich i nasyci go obfitością Domu Bożego. Niech Bóg, którego królestwo szerzył na ziemi, posadzi go na stolicy niebieskiej, obok wielkich imienników jego, Leonów świętych papieży Rzymskich.

Chociaż serce nasze strwożone i zasmucone, że Bóg do siebie zabrał tak mądrego Sternika Piotrowej łodzi i to wśród czasów tak wielkich niebezpieczeństw dla Kościoła, w których moce piekielne starają się zatrząść fundamentami Kościoła, jednak z ufnością i nadzieją zwracamy się do Boga, albowiem wiemy, że tej łodzi nie zabraknie do końca świata Sternika. Jakoż po ciężkiej żałobie zesłał nam Pan Bóg rychło pocieszenie, dał nam Piotra św. nowego Następcę, Najwyższego Ojca w porządku duchownym na ziemi. I otóż zasiadł na tronie Piotrowym z całą pełnią władzy, jaką Chrystus Pan zlał na Książęcia Apostołów, prowadzić będzie dalej rządy Kościoła na ziemi dotychczasowy Patryarcha Wenecyi, Kardynał Józef Sarto, który dnia 4-go sierpnia obrany papieżem przybrał imię Piusa X. Urodzony w Riese, dyecezyi Treviso 2-go czerwca 1835 roku, ze skromnych i wieśniaczych rodziców, został w roku 1884 biskupem w Mantui. Po dziewięciu latach został wybrany arcybiskupem we Wenecyi, który nosi tytuł Patryarchy, trzy dni zaś poprzednio już został mianowany Kardynałem z tytularnym kościołem św. Bernarda. Znanym był z wielkiej energii i cnót, to też radujmy się, że Duch św. skierował tak rychło głosy św. Kolegium kardynalskiego na niego i dziękujmy Bogu, że nas nie pozostawił długo w sieroctwie, że mamy znów Ojca w osobie Piusa X.

Przekonani jesteśmy z głębi serca, że papież Pius X. tak jak jego poprzednicy poczuwać się będzie do uczuć ojcowskich względem nas i nas przytuli do serca swojego. Pamiętajmy, że tam w Rzymie bije dla nas jedynie i najżywiej tętno ojcowskich uczuć. Możemy być pewni, że wielkie serce Papieża nas nie odepchnie nigdy i w naszych bólach i naszych troskach nas pocieszać będzie. A jeżli mimo pragnienia swego najgorętszego w potrzebach naszych nie zawsze będzie nam mógł użyczyć skutecznej pomocy, to wiedzieć winniśmy, że wedle woli Bożej, sam papież na ziemi najcięższy krzyż dźwiga za przykładem Pana Jezusa. A za tymże przykładem i my pod krzyżami naszemi ziemskiemi nie możemy sarkać ni szemrać, wiedząc, że ziemia nie jest naszym kresem i końcem, że po Golgocie bywa zmartwychwstanie i wieczne zbawienie. To poddanie się woli Bożej wśród krzyżów żywota jest kamieniem probierczym naszej wartości i naszej zasługi przed Bogiem. Biada i stokroć biada, gdyby się znalazły pomiędzy nami dusze, któreby chciały próbować osłabić lub zrywać ojców naszych przymierze ze stolicą Piotrową strumieniami krwi, tylu łzami świętych dusz, tylu modlitwami ojców i matek naszych zawarte i przypieczętowane. My, Ojcze św. Piusie X., ślubujemy Ci uroczyście dotrzymać tego przymierza, ślubujemy Ci, że żaden gwałt, żadna ziemska potęga, żadna pokusa najniebezpieczniejsza, choćby ze strony fałszywych lub zbłąkanych braci, oderwać nas nie zdoła od wierności dla Matki naszej, św. Rzymskiego Kościoła. Ślubujemy Ci, Ojcze św., że modlić się będziemy o pełnią łask Ducha św. dla Ciebie, abyś cały kościół, tak jak wielcy Poprzednicy Twoji, umiał bronić mężnie i roztropnie, abyś w duszach naszych umiał hodować te cnoty, które ludziom i narodom do ich żywota są niezbędne, abyś modlitwą Twoją starał się wyplenić szczególniej w nas główny grzech pychy i niezgody bratniej, a na ich miejsce utrwalić stateczność w dobrych, chwalebnych uczynkach dla chwały Bożej, a nie dla własnej podejmowanych. Z tą prośbą przed Bogiem utajonym tu w Najśw. Sakramencie, zwracamy się w pokorze jako wierni synowie tych ojców, którzy krwi swojej nie szczędzili za wiarę, ze ślubem tej samej wierności, tej samej czci, uległości i posłuszeństwa dla Piotra św. Następcy, Piusa X. Niech Go Bóg prowadzi, uświęca i niech zawsze nas uznaje jako przywiązane swoje dzieci.

1) Powyższy list pasterski ma być odczytany w najbliższą niedzielę w miejsce kazania z ambon. Suma w tę niedzielę odprawi się w obec wystawionego Najśw. Sakramentu. Po sumie odśpiewa się Te Deum cum oratione pro gratiarum actione, która się rozpoczyna od słów: „Deus, cuius misericordiae non est numerus...“ Podczas Te Deum i przez całą następną godzinę należy dzwonić we wszystkie dzwony w kościołach parafialnych i filialnych.

2) Wszyscy kapłani dołączać będą w każdej mszy św., o ile rubryki pozwalają, jak dotąd modlitwę za Ojca św. (imperatam).

Dan w Krobi, dnia 5-go sierpnia 1903.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański.

† Floryan.





W poświstach wichrów losu,
Gdy się zawichrzy w rozumie,
Gdy piersiom zabraknie głosu,
Kark zgniecie nieszczęścia głaz,
W przepaści życia — burz szumie,
Boże! zachowaj nas!

Gdy niebo chmury całunem
Błękitne skronie osłoni,
I strasznym gniewnie piorunem
W rodzinny wymierzy dom!
Zanim dzwon burzę rozgoni,
Boże! zatrzymaj grom!

Ed. Wasilewski.

DRUKIEM „PRACY".

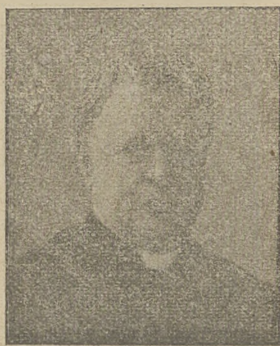
Dział illustrowany.

Album posłów polskich w parlamencie niemieckim.

IV.

Poseł ks. prałat dr. Jażdzewski.

Pod względem parlamentarnego doświadczenia, politycznych zdolności i daru wymowy zajmuje ks. prałat bezwarunkowo pierwszorzędne miej-



Poseł ks. prałat dr. Jażdzewski.

sce w Kole polskiem. Od lat 30 pełni służbę parlamentarną, i chociaż gwiazda jego nie zawsze równym świeciła blaskiem, odegrał jednak tak wybitną rolę polityczną, że nazwisko jego w jednym rzędzie stoi z nazwiskiem Kantaka, Niegolewskiego i Stablewskiego.

Urodził się w Poznańskiem roku 1838. Po raz pierwszy wybranym został w r. 1872 w okręgu koźmińsko-krotoszyńskim. Z przerwą czteroletnią posłował z tego okręgu aż do roku 1887. Wybrany ponownie w r. 1890, odtąd bez przerwy dzierży rzeczony mandat.

Najpopularniejszem było imię jego w społeczeństwie za czasów t. zw. ugodowej polityki. — Wiadomem było bowiem wówczas, że tworzy on rodzaj opozycyi w Kole i jest wrogiem ugodowego kierunku. Był on najskrajniejszym antagonistą p. Józefa Kościelskiego.

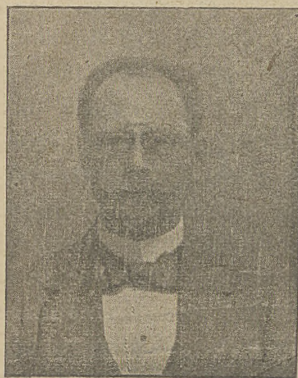
Z chwilą jednakże, kiedy Koło polskie zerwało z kierunkiem ugodowym i w zasadzie przeszło do opozycyi, ks. prałat zmienił swoje stanowisko. Odtąd społeczeństwo naprózno szuka w parlamentarnych jego przemówieniach tonu, któryby zgodnym był z usposobieniem ludu i zastósowanym do obecnej sytuacyi. Jest on wytwornym dyplomatą; ale ani społeczeństwo, ani Koło polskie nie wierzy w skuteczność dyplomatycznych jego usiłowań.

* * *

V.

Poseł dr. Krzymiński.

Urodzony 1-go marca 1858 roku w Kalejach w powiecie Śremskim, ukończył gimnazyum leszczyńskie i poświęcił się medycynie. Od roku 1885 praktykuje w Inowrocławiu jako lekarz praktyczny.



Poseł dr. Krzymiński.

Od r. 1894 reprezentuje okręg inowrocławsko - mogilnicko - strzeliński. Do tego czasu wybierano w okręgu tym p. Józefa Kościelskiego, lecz przy wyborach w r. 1894 zawrzała silna opozycya przeciwko ugodowej polityce. Partya ugodowa starała się przeforsować ks. Wawrzyniaka, partya opozycyjna stawiała kandydatów ludowych. W końcu zgodzono się, aby burzę secessyi zażegnać, na kandydata kompromisowego i wybrano pana dra Krzymińskiego. W Kole polskiem, ani w parlamencie nie odegrał on wybitniejszej roli.

* * *

VI.

Poseł Roman Janta-Połczyński.

Urodził się w r. 1849 w Komorzu w powiecie tucholskim. Gimnazyum ukończył w Poznaniu i oddał się studyom muzycznym. Od r. 1873 zarządza majątkami swemi; mieszka w Żabiczynie w powiecie wągrowieckim.



Poseł Roman Janta-Połczyński.

Od r. 1890 wybiera go okręg pucko - wejherowsko - kartuski. Dotąd poprzestaje głównie na pracy wewnątrz Koła i pełni od czasu pierwszego swego wyboru obowiązki sekretarza Koła.

* * *

VII.

Poseł Władysław Wolszlegier.

Urodził się w r. 1849 w majątku rodzinnym Szenfeldzie w powiecie chojnickim. Do gimnazyum uczęszczał



Poseł Władysław Wolszlegier.

w Chojnicach. W roku 1878 objął Szenfelde i dotąd tam mieszka.

W parlamencie reprezentował od r. 1884—1887 i od r. 1890—1903 okręg chojnicko - tucholski. Obecnie wybra-

nym został w okręgu starogardzko-tczewskim, z którego dotąd posłował ks. kanonik Neubauer. Podobnie jak dwaj poprzedni posłowie należy do „niemówiących.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z żałobnej karty.

Pierwszym większym utworem śp. Godlewskiej (używającej w początkach swej działalności pisarskiej także pseudonimu Exterus) była powieść „Po zdrowie,“ drukowana w „Ateneum“ za redakcyi Chmielowskiego; rozgłos jednak zapewnił jej dopiero „Kato“ — powieść dwutomowa drukowana także w „Ateneum.“ Przedstawiony jest w niej wielki charakter, który nie gnąc się w żadnem życiowem nieszczęściu, wznosi się wreszcie na szczyty ludzkiego poświęcenia, poświęcając swoje osobiste szczęście dla szczęścia ukochanej kobiety, która będąc jego żoną, kocha jego przyjaciela. Obraz to zaiste wstrząsający i tytaniczny, potężny tem-


Ś. p. Ludwika Godlewska.

bardziej, że jakkolwiek tytułowy bohater zdobywa się wreszcie na nadludzkie poświęcenie, robi to wśród najcięższych duchowych walk i potykań.

I w tem właśnie leży największa zmarłej autorki zasługa, że malowała, a przynajmniej starała się w utworach swych malować ludzi zdrowych fizycznie i moralnie, ludzi woli, czynu i energii — pełnych jednem słowem tych wszystkich przymiotów, które składają się na „charakter.“

Znać w jej utworach wielkie zamiłowanie do malowania postaci silnych, charakterów wielkich i uczuć podniosłych, którym jednak nie obce są cywilizacya i tak modna obecnie nadczułość.

Jej styl — to ostry jak stal, to potoczysty jak strumyk, to różnobarwny, jak łąka w maju — zachwyca i olśniewa, i jakkolwiek przypomina tu i owdzie Sienkiewicza, to bynajmniej tego młodej autorce za złe nie bierzemy.

Po „Katonie“ napisała śp. Ludwika Godlewska jeszcze „Kwiat aloesu,“ „Dobrane pary“ i kilka drobnych nowel; wszystko to, jakkolwiek były rzeczy dobre, niedorównywały jednak „Katonowi,“ — lecz przecież talent jej rozwijał się dopiero!

Szkoda jej, szkoda rzetelnego, pełnego realizmu i życiowej prawdy talentu, który może korzystnie wpłynąć zdołałby na obecne pokolenie Afrodyt, takich Janek z „Dobranych par,“ łamiących nieraz życie zbyt wrażliwym Katonom lub Ładyszom.

Szkoda Godlewskiej, szkoda tych pięknych, a niewypowiedzianych myśli, kłębiących się pod jej czaszką, tych wielkich a podniosłych uczuć, przepełniających miłością jej wezbrane serce!

P. W.



Z życia nowego Papieża.

Potrójna tyara spoczęła na głowie człowieka nizkiego pochodzenia, na głowie duchownego, który jako skromny, wiejski proboszcz kierował sumieniami wiernych. Niezwykłe uczucia muszą panować teraz w duszy wybranego. Ten, którego kołyska stała w skromnej chacie wiejskiej, którego młodość zaznała niedostatku, upokorzeń i ograniczeń, który zakosztował drobnych radości i przykrości proletaryatu duchownego, przechadza się dziś jak pan, jak nieograniczony władca po wspaniałym pałacu, o salach zdobnych największemi arcydziełami świata i szepcących mu nieskończoną powieść o wielkich postaciach, o świetnych czynach, o wielkich historycznych tradycyach.

Rzym, wieczne miasto, stolica dwóch kolejnych, innych, ale zawsze światowych panowań, których środek był początkowo na Forum, aby później przenieść się do pałaców biskupich, ma w sobie coś z ducha rządzenia. Obrała sobie w nim siedlisko siła kierowania masami, umiejętność obejmowania olbrzymich horyzontów, ruszania z posad wielkich nad wszystkie spraw.

Na głowę tego, na którego padł promień Łaski, w ręce którego złożona została najwyższa władza duchowna, który jest najwyższym nauczycielem wiernych i władzcą losów Kościoła, pada odblask minionej świetności Cezarów. Bo chociaż papieztwo z woli Boga straciło władzę świecką, przecież ręka, zdobna w pierścień rybaka dzierży wysoko berło, którego skinienia słuchają miliony wiernych.

Więc też miliony zwracają się w stronę Rzymu z ufnością i nadzieją, które płyną z przepisów wiary, ale z bojaźliwą ciekawością i niepokojem, które są ludzkiemi uczuciami i zapytują: kto jest ten, któremu powierzono berło Piotrowe, a od skinienia ręki którego zależą nasze losy? Trudno na to pytanie odpowiedzieć, ale przecież opis żywota i czynów kardynała Sarto może nam choć w części wyjaśnić, czem będzie Pius X.

Józef Sarto urodził się w ubogiej rodzinie, miasteczku Riesi, w dyecezyi Trewirskiej. Ubodzy rodzice oczekiwali go niecierpliwie, był pierworodnym; życzenie ich spełniło się dnia 2-go czerwca 1835 r. Nazwisko zostało dopiero wsławione przez dzisiejszego


Św. Elżbieta.
Powyższa rycina przedstawia reprodukcyę słynnego obrazu olejnego znakomitego malarza H. Holbeina starszego. Oryginał znajduje się w pięknym ołtarzu św. Sebastyana w pinakotece w Monachium.

Papieża. Po włosku „sarto“ znaczy krawiec.

W mieścinie rodzinnej dziecię wyrastało w biednych i skromnych warunkach życia wieśniaczego, ucząc się sztuki pisania wraz z towarzyszami zabaw, ale już zdradzało wielką pobożność i skłonność do rozmyślań. Nie odebrał ogólnego wykształcenia świetnego, jak większość jego późniejszych kolegów z arystokracyi. Za to doskonale przeszedł nauki teologiczne. W bardzo młodziutkim wieku oddano go do szkoły duchownej w Castel-

franco, mieście słodkiem i spokojnem, w ojczyźnie Giorgione'a. Potem wstąpił do seminaryum w Padwie, głośnego z doskonałej kultury humanistycznej i teologicznej jego wychowańców. Opowiadają, że jako młodziutki seminarzysta, modlił się często w Arena pod wzruszającemi freskami Giotta.

W Padwie został wyświęcony na dyakona, powrócił do Castelfranco, aby tam otrzymać wyższe święcenia, pobożne wspomnienia bowiem wpłynęły na powrót jego między dawnych towarzyszy radości młodzieńczych. Bardzo prędko został proboszczem w Tombolo, potem w Salzano. Ale na tem ostatniem probostwie zdawało się, że ks. Sarto przepędzi wieki, był bowiem zupełnie pozbawiony dążeń ambitnych. A przecież zasługi jego były tajemnicą dla niego samego. Skoro on nic nie pragnął, trzeba było wyjść naprzeciw niego. Biskup Trewiru zwrócił na niego uwagę, mianował go kanonikiem i w krótce potem zrobił go swoim koadjutorem. Teraz już prymas kapituły, kanclerz biskupa, wikary generalny, wydawał się przeznaczonym na stolicę biskupią.

W roku 1884 zawakowało biskupstwo w Mantui. Wybrano ks. Józefa Sarto, który liczył wówczas 46 lat. Dotychczas odznaczał się tylko jako doskonały ksiądz, bardzo pobożny, bardzo miłosierny i pełen świętego ognia. W Mantui już wykazał i inne zalety, wybitne zdolności administratora, doskonałą energię, wolną od wszelkiego rodzaju brutalności, ale stałą i niezmiernie skuteczną. Zadaniem jego było przywrócenie w dyecezyi dyscypliny, mocno osłabionej za czasów jego poprzednika. Msgr. Sarto niebawem wzbudził najwyższy szacunek podwładnych powagą swojej osoby i przekonywującą słodyczą nauczania. Usiłował również podnieść poziom nauk młodych kleryków. Uważny i drobiazgowy, pragnął, aby obok niego wzrastali księża, godni swego powołania.

Dziewięciolecie jego rządów w dyecezyi mantuańskiej było płodne w następstwa. Jego innowacye, ostrożne a szczęśliwe, pozostały, chociaż losy powołały go do innych godności, cięższych i sławniejszych.

W roku 1893 umarł patryarcha wenecki. Kurya rzymska mianowała na to stanowisko biskupa mantuańskiego. Dwaj kandydaci, mianowani uprzednio nie otrzymali *exequatur* rządu włoskiego. Osoba msgra Sarto nie zażegnała zresztą zatargu między Kwirynałem a Watykanem; osobistości bowiem nie grały roli w niechęci rządu. Rząd nie sprzeciwiał się kardynałowi Sarto, lecz każdemu wogóle wybranemu przez Stolicę Apostolską. Gabinet Crispi'ego umyślnie zaostrzył do najwyższego stopnia spór między Papieżem a królem. Pozatem patryarchat wenecki stanowił jedyną w swoim rodzaju okazyę do trudności prawie nierozwiązalnych.

Crispi żądał dla króla włoskiego, jako spadkobiercy praw rzeczpospolitej weneckiej, prawa patronatu nad patryarchatem weneckim. Leon XIII nie chciał ustąpić. Podniesiono, że rzeczony patronat był tylko ustępstwem Stolicy Apostolskiej, że więc Papież może rozporządzać nim wedle własnego uznania i woli. Przywilej był w swoim czasie odnawiany dla cesarza austryackiego, ale teraz Stolica Apo-



Św. B.rbara.
Powyższa rycina przedstawia reprodukcyę słynnego obrazu olejnego znakomitego malarza H. Holbeina starszego. Oryginał znajduje się w pięknym ołtarzu św. Sebastyana w pinakotece w Monachium.

stolska ma prawo nie odnawiać go na korzyść domu sabaudzkiego.

Msgr. Sarto został kardynałem i patryarchą weneckim. Rząd włoski upierał się i nie zatwierdzał go. Skutkiem tego patryarcha był pozbawiony dochodów — nie pobierał pensyi. W tych niezmiernie trudnych okolicznościach kard. Sarto umiał zachować się z wielką godnością i jaknajbardziej poprawnie. Udało mu się nie wywoływać niezadowolenia ani w Watykanie, ani w Kwirynale. Zatarg do którego on dostarczał sposobności, w istocie rozwijał się poza jego plecami. Miał więc świadomość, że tu nie chodzi osobiście o niego. Chodziło o zasadę, o prawa Stolicy Apostolskiej. Jako jej wysłannik wiernie trwał na posterunku, patrząc z rezygnacyą na wypadki, posłuszny poleceniom, które otrzymywał.

Był to okres jaknajbardziej antyfrancuskiej polityki Crispiego. Nastąpił więc kompromis kosztem interesów francuzkich. Crispi oświadczył, że rząd udzieli *exequatur* patryarsze, jeżeli zakonników francuzkich w Abisynii zastąpią franciszkanie włoscy i uważał to za wielkie zwycięztwo polityczne. Leon XIII zgodził się. Układy były długie i zawikłane. Kard. Sarto nie brał w nich udziału, ponieważ zrobił sobie zasadę z abstynencyi.

Rezultaty tej szlachetnej ostrożności były dla kard. Sarto jak najlepsze. Leon XIII okazywał mu zawsze szacunek pełen życzliwości.

Kardynał Sarto zawsze brał żywy udział w sprawach swojej dyecezyi. Nie było uroczystości publicznej, w której nie brałby udziału. Spacerował często po mieście, zdobywając sobie swoim miłym uśmiechem coraz większą popularność. Żył poprostu, to też lud go kochał tyle, ile go szanował. Rękę miał zawsze wzniesioną do błogosławieństwa. Kiedy po kanale mknęła gondola patryarchy, gondolierzy oczekiwali błogosławieństwa, które rozdawał na wszystkie strony, i opowiadali sobie, że chcieliby, aby został Papieżem, bo otworzyłby im wrota do raju, jedynie po to, by ich tam znowu spotkać i błogosławić. Kochał też Wenecyę i nie opuszczał jej prawie wcale; w Rzymie bywał bardzo rzadko i zawsze na krótko, nie biorąc najmniejszego udziału w zabiegach kuryalnych.

Z pałacu swego, w głębi św. Marka kierował sumieniem publicznem. Mieszkał tam z dwiema siostrami; matka nigdy nie mogła się zdecydować na opuszczenie wioski rodzinnej. Siostry ukazywały się zaledwie z rzadka, aby nie przeszkadzać bratu, wyniesionemu tak wysoko. Niezłomnie bowiem trwały przy swoich przyzwyczajeniach wiejskich, nie nabrały tonu wielkich dam, nie nosiły kapeluszy, pozostały skromnemi wieśniaczkami. Zarządzały kuchnią i gospodarstwem dostojnego brata. Kiedyś zgłosił się do niego znakomity kucharz, ofiarując swoje usługi: „Jadam tylko ryż i mięso, mięso i ryż — odparł patryarcha. Siostry wystarczają mi do gotowania tych potraw.''

Dbając o nieustanny wpływ na wiernych, patryarcha wenecki wydawał wiele poleceń, listów itd. Używał w nich do praktykowania najcelniej-

szych cnót chrześciańskich, skromności, miłosierdzia, dobroczynności. Sam dawał przykład: dobroć jego jest w Wenecyi przysłowiową. Co niedziela czytano z ambony te szlachetne i serdeczne epistoły; patryarcha wymagał prócz tego, aby były tłómaczone i komentowane dla ludu, w dyalekcie. Często z katedry św. Marka odczytywał i analizował sam święte księgi, wyciągając z nich trafne nauki dla codziennej życiowej praktyki.

Ojciec św. jest zapalonym zwolennikiem śpiewu gregoryańskiego i poświęcił wiele usiłowań reformie pieśń religijnych w Wenecyi. Był jednym z najczynniejszych protektorów ks. Perosiego, obecnego dyrektora kapeli sykstyńskiej, a poprzednio dyrektorem kapeli św. Marka, mianowanego przez patryarchę. Młody ks. Perosi został zainstalowany w pałacu biskupim, a kardynał dawał mu dowody najczulszego przywiązania, zachęcał go, interesował się jego studyami.

W r. 1895 kard. Sarto wydał długi i ważny list pasterski „o śpiewie kościelnym.“ Jest ogólną zasadą ojców kościoła, kanonów, koncyliów, bull papiezkich i dekretów dyscyplinarnych św. Kongregacyi rytuału, że muzyką religijną jest tylko ta, która okazuje cześć Bogu i wznosi serca wiernych. Musi więc posiadać trzy przymioty: świętość, godność sztuki i powszechność. Trzeba tedy zabronić w świątyniach wszelkiej lekkiej, trywialnej, teatralnej, muzyki profanów w formie kompozycyi lub też w sposobie wykonania. Trzeba prócz tego jednoczyć muzykę religijną i nie pozostawiać jej fantazyi indywidualnej; wiara jest jedna, modlitwa winna być też jedna, a więc i muzyka religijna, która jest tylko jedną z form modlitwy. Te różne własności zawiera w sobie tylko śpiew czysto liturgiczny, śpiew gregoryański. Zgodnie z temi zasadami kard. Sarto przepisuje, aby w jego dyecezyi nie wykonywano muzyki, którąby poprzednio nie została zatwierdzona przez osobną ad hoc mianowaną komisyę. W tym względzie przypomina on zdanie św. Augustyna, który również nie ufał słodyczom harmonii i zalecał muzykę surową, a potępiał niebezpieczne czułości muzyki profanów.

Wenecyanie byli tak pewni, iż nikt nie może być wybrany w konklawe, tylko ich ukochany patryarcha, że żegnali go na zawsze. Tego popołudnia, kiedy kard. Sarto wyjeżdżał do Rzymu na konklawe, tłumy ludu zebrały się na dworcu z okrzykiem: „życzymy Ci, abyś już do nas nie wracał, ukochany pasterzu!“ W okrzyku tym była i wiara spełnienia i entuzyazm tej masy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy jak szaleni tłoczyli się wszyscy do swego biskupa. Wszyscy chcieli go widzieć i ucałować jego pierścień, jak gdyby w celu zachowania wspomnienia o tym, którego nigdy już nie mieli zobaczyć. Wszyscy wołali: „Prosimy o błogosławieństwo papiezkie, zanim zostaniesz Papieżem!“ Patryarcha wysoką swoją postacią dominował nad tłumem. Pozwolił zbliżyć mu się do siebie i wreszcie po wejściu do wagonu podniósł rękę i udzielił potrójnego błogosławieństwa. Kiedy pociąg ruszył, ściany dworca zadrżały od potężnego okrzyku: „Żegnaj Eminencyo, już cię nie zobaczymy!“ Patryarcha wzruszony błogosławił ciągle, a kiedy pociąg znikł w oddali, wioząc dostojnika ku nieznanym losom, tłum został nieruchomy, pełen boleści. Powtarzano tu i owdzie: „Straciliśmy na zawsze ojca naszego.“ I w istocie był on kochającym i szlachetnym ojcem dla wszystkich skromnych i ubogich.

W wielkim i wspaniałym Watykanie będzie może nieraz żałował pięknego morza i nieba Wenecyi, swobodnego żywota i słodyczy spokojnie i dobrze spełnianego zadania. Ale w gorącej pobożności, w giętkiej inteligencyi i zapale, którym się odznacza, znajdzie siły i źródła, których potrzebuje, aby granice swojej dyecezyi rozszerzyć do rozmiarów światowego państwa katolicyzmu.

W. W.



MATKA

Mówisz mi, dziecię, żeś nie widziało
Nigdy anioła,
Co to ma skrzydła i szatę białą
I blask u czoła?

O, bo nie chodzą tacy anieli
Po naszym świecie,
Ale są inni, chociaż nie w bieli,
Wierzaj mi, dziecię.

Patrzysz, dziwisz się? — i ty masz przecie
Tego anioła,
On to nad tobą czuwa, o, dziecię,
Gdy noc dokoła.

I chociaż nie ma niebiańskich znamion:
Gwiazdy nad czołem
I srebrno-modrych skrzydeł u ramion—
Jest twym aniołem.

On się za ciebie modli żarliwie,
On — twój obrońca,
Chroni, jak wietrzyk kłosy na niwie,
Od żaru słońca.

I wolę twoją na stal zamienia,
Byś w walce z losem
Nie padło z jękiem pośród cierpienia
Niepełnym kłosem.

I pragnie szczęścia twojego tylko
Do dni ostatka,
Przy tobie jego myśl każdą chwilką: —
To twoja matka.

Zofia Zacharkiewicz.



Podziemna katastrofa w Paryżu.

Straszna katastrofa, której ofiarą padło blizko sto osób, wydarzyła się dnia 11-go b. m. w nocy na podziemnej stacyi Menilmontant kolei elektrycznej w Paryżu.

Szczegóły towarzyszące tej katastrofie są następujące.

Około godziny 8-mej wieczorem podziemnym tunelem kolei elektrycznej pusty pociąg, ciągnący za sobą drugi pusty pociąg, dążył do remizy, znajdującej się na placu de la Nation. W pobliżu stacyi Menilmontant, oba wagony zapaliły się. Maszynista i służba pociągu zdołali uratować się ucieczką.

W tej chwili nadjechał pociąg przepełniony pasażerami. Maszynista tego pociągu zahamował wóz ponieważ linia była zajęta. Duszące kłęby dymu otoczyły natychmiast pociąg, a między publicznością powstała straszna panika, która przybrała olbrzymie rozmiary, zwłaszcza, że zgasło w tunelu światło elektryczne.

Personał kolejowy starał się wprawdzie pokazać publiczności drogę do wyjścia, ale wśród krzyku i zamięszania, wśród duszących kłębów dymu i ciemności wołania służby nie odniosły pożądanego skutku.

Zawezwana straż ogniowa miała bardzo utrudniony dostęp do tunelu, z którego wydobywały się kłęby dymu. Upłynęło kilka godzin zanim udało się jej wejść do podziemia.

Początkowo zdawało się, że nikt nie utracił życia, ale już około północy rozeszła się pogłoska, która następnie niestety sprawdziła się, że z kilkuset osób, znajdujących się w tunelu, zaledwie połowa się uratowała, reszta zaś udusiła się w dymie.

Silnie poparzony maszynista pociągu, który się zapalił, oświadczył, że zdaniem jego przyczyną powstania ognia była ta okoliczność, że w wozie motorowym obluzowała się jedna sztaba żelazna, która następnie spadła na szyny. Wskutek tego powstało t. zw. krótkie połączenie, które spowodowało

zapalenie się od iskry elektrycznej gutaperkowych i drewnianych części wagonu.

Ofiarami katastrofy są osoby, które czekały na peronie na inny pociąg lub które, nie spodziewając się niczego, schodziły ze schodów znajdującego się na stacyi pociągu, albo znajdowały się w nadbiegającym w krytycznej chwili na stacyę pociągu.

Konduktor pociągu, który z lasku bulońskiego dążąc do Menilmontant stanął w tunelu ulicy de Couronnes zapewnia, że zeszedł ze swego stanowiska dopiero wtedy, gdy ostatni pasażer opuścił pociąg, gdy już duszący dym zalegał tunel.

Na placu w pobliżu stacyi na wieść o katastrofie zebrały się tysiące ludu, na którego twarzy malowało się przerażenie.

Z otworu tunelowego wydobywał się ostry, duszący dym, utrudniając nadzwyczaj akcyę ratunkową.

Od godziny 11-tej wieczorem do 3-ciej nad ranem, mimo wysiłków, nie udało się straży dostać do tunelu. Postanowiono użyć dla rozpędzenia dymu dynamitu.

W rzeczywistości założono nabój. Rozległ się huk i słup dymu buchnął z otworu tunelu.

Teraz dopiero strażacy weszli do środka, używając dla rozświecenia ciemności lamp acetylenowych.

Wkrótce ukazali się pierwsi pompjerzy, wynoszący na swych barkach ofiary katastrofy.

Zwłoki odnoszono do sali komisaryatu policyjnego przy ul. Pasteur'a, gdzie policya wraz z władzą sanitarną je spisywała. Następnie przeniesione zostały do Morgue i Caserne dela Cite, gdzie się zgłosiły po nie rodziny.

Ofiary katastrofy należą przeważnie do stanu robotniczego, są między niemi także i elegancko ubrane damy i dzieci.

Z podróżnych zaledwie połowa zdołała się ocalić. Wiele trupów wydobyto z tunelu. Wydobyte ciała strasznie były zmienione, czarne od dymu, z wyrazem okropnej zgrozy na twarzach. Straszną śmierć ich być musiała.

A. Z.



„Madame“ Humbert

przed sądem.

Swieżo rozpoczął się w Paryżu proces przeciw Teresie Humbertowej i tow. o oszustwa i fałszowania dokumentów. Dzieje tej genialnej oszustki i jej wszystkie sprawki były już w zeszłym roku, po wyjściu ich na jaw, szeroko w prasie omawiane. Ponieważ jednak rozpoczęty proces wzbudził ogólne zainteresowanie, nie od rzeczy będzie przypomnieć w krótkości najważniejsze momenty tej zajmującej sprawy.

Teresa Daurignac, córka właściciela winnic w Beauzelles we Francyi, odziedziczyła po swym ojcu zmyśloną przezeń historyę o wielkim spadku, mającym przypaść na rodzinę Daurignaców po bogatym wuju, żyjącym w Ameryce. Sprytna niezwykle dziewczyna potrafiła wykorzystać tę spuściznę po ojcu a głosząc dalej i urozmaicając nowymi szczegółami historyę owego tajemniczego spadku, usidłała młodego prawnika Fryderyka Humberta, syna Gustawa Humberta, profesora uniw. w Tuluzie, późniejszego ministra sprawiedliwości i zawarła z nim związek małżeński.

Państwo Humbertowie zamieszkali w Paryżu. Tam też w r. 1881 rozeszła się sensacyjna wieść, że Humbertowie odziedziczyli jakiś olbrzymi spadek, a tytułem należytości fiskalnej od tego spadku zapłacić mają milion franków. Tajemnicza historya tego spadku nabrała pozorów wiarogodności, gdy stary Humbert, cieszący się ogólnym szacunkiem ,zaciągnął pożyczkę krociową na zapłacenie wspomnianej należytości spadkowej. Sprawa cała jednak przedstawiała się w szczegółach dość niejasno i dopiero w r. 1883 skrystalizowała się całkiem dokładnie w następujący sposób: Oto w r. 1887 zmarł w Nizy — głosiła Humbertowa — Amerykanin Henry Robert Crawford, miljoner, pozostawiając dwa jednakowo brzmiące, w Nizzy równocześnie sporządzone, testamenty: jeden zapisujący całą schedę Teresie Humbert, córce jego dawnej „kochanki", drugi rozdzielający masę spadkową w równych częściach pomiędzy Maryę Daurignac, siostrę Teresy Humbert, Henryka Crawforda, jego bratanka i Roberta Crawforda, jego brata. Działy jednak Crawfordów obciążone zostały rentą 300,000 fr. rocznie wypłacać się mających Teresie Humbert. Między spadkobiercami wszczął się proces, po pewnym jednak czasie zawarto dobrowolną ugodę, mocą której opiekę i nadzór nad całym spadkiem powierzono Teresie Humbert, z zastrzeżeniem wszakże, iż nie ruszy spadku aż do osiągnięcia pełnoletności Maryi Daurignac.

W rok później zmieniono ów układ. Bracia Crawfordowie zgodzili się na odsąpienie pretensyi do spadku Teresie Humbert pod warunkiem, iż ona im wypłaci po 3 miliony fr. gotówką.

Wnet potem Crawfordowie zerwali układy i wszczęli proces cywilny z Humbertami.

Cała ta historya była od a do zet zmyśloną przez sprytną Humbertową, to też pojąć trudno, że kobieta ta przez lat 20 potrafiła wprowadzać w błąd sądy francuskie, cały szereg adwokatów, notaryuszów itd., którzy zupełnie seryo prowadzili z sfingowanymi Crawfordami proces o sfingowany spadek po sfingowanym Crawfordzie. Swoją drogą podnieść należy, iż oszustwa swe urządzała Teresa Humbertowa w prawdziwie mistrzowski sposób.

Drogi, które oszustka obierała, by stwierdzić istnienie Crafwordów, były rozmaite. Tak n. p. prezydent sądu w Paryżu otrzymał był w ciągu jednego procesu o rzeczony spadek list od Henryka Crawforda z prośbą o prywatną audyencyę. Oczywiście jako sumienny sędzia nic nie odpowiedział, ale był pewny odtąd, że Crawford istnieje. Sztuczkę tę urządził brat Teresy, Roman Daurignac. Innym razem zjawili się przed notaryuszem Dupuy w Paryżu obaj Crawfordowie, aby wezwać jego pomocy prawnej przeciwko Teresie Humbert. Oczywista, że notaryusz nie mógł przypuszczać, iż z kim innym, a nie z Crawfordami miał do czynienia.

Komedya zaś cała była tak prowadzona, by nigdy żaden ze wszczętych procesów nie mógł się skończyć i aby Teresa nie mogła znaleść się w położeniu, które dozwoliłoby jej otworzyć żelazną kasę kryjącą w swem wnętrzu olbrzymie skarby po zmarłym Crawfordzie. Procesy te były ogromnie kosztowne, Humbertowie jednak nie szczędzili ofiar, tem więcej, że wobec pozornych dowodów autentyczności nikt nie wątpił w amerykańskie miliony Humbertów, i na ich każde, choćby wygórowane, żądanie otwierały się kasy rozmaitych instytucyi bankowych i osób prywatnych. Gdy zaś ten sposób zdobywania funduszów stał się zbyt niewygodnym, założyli Humbertowie Tow. asekuracyjne „La rente viagere;" kapitału zakładowego dostarczyła sfingowana subskrypcya braci Humbertowej. Dzięki sprytnej reklamie powiodło się przedsiębiorstwo doskonale i znowu znalazły się fundusze na prowadzenie dalszych procesów z Crawfordami.

Niespodziewanie jednak w czasie jednej z rozlicznych rozpraw podniósł Waldeck-Rousseau poważne wątpliwości co do istnienia Crawfordów. Wobec tego zażądano autentycznego adresu Crawfordów, gdy zaś żaden z prawnych ich zastępców nie mógł go podać, zarządzono urzędowe otwarcie tajemniczej żelaznej kasy pani Humbertowej. Okazało się, że w kasie żadnych depo-

żytów nie było. W ten sposób na wiosnę r. 1902 wyszło oszustwo, tak misternie przez 20 lat ukrywane, na jaw, zacne zaś towarzystwo ulotniło się z Francyi i dopiero po długich pościgach władz zostało schwytane i uwięzione.

* * *

Proces przed sądem przysięgłych rozpoczął się, dnia 8-go b. m., a potrwa kilkanaście dni. Na ławie oskarżonych zasiedli Teresa Humbertowa, jej mąż Fryderyk Humbert i jej bracia Emil i Roman. Świadków wezwano 106.

Humbertowa nie straciła fantazyi. Zachowuje się w czasie rozprawy wyzywająco, odgraża się, że poczyni zeznania, które mocno skompromitują wiele wysoko postawionych osobistości.

Fryderyk Humbert robi wrażenie ślepego narzędzia w ręku sprytnej swej żony, a proces działa nań widocznie przygnębiająco.

Więcej zaciekawienia wśród publiczności, która szczelnie wypełnia salę rozpraw, zwłaszcza zaś wśród kobiet budzą dwaj bracia Humbertowej Emil i Roman, którzy z wielką swobodą rozglądają się po sali, szukając tam prawdopodobnie swych znajomych.

K. L.



Z WĘDRÓWKI.

Dalej w świat dalej...
Niech los mną miota!
Po życia fali
Gna mnie tęsknota...
Nic nie znachodzę
Na bytu szali —
Więc puszczam wodze...
Dalej w świat, dalej!

Niech łzy osuszy
Wicher obczyzny,
Ukoi duszy
Krwawiące blizny...
Wiedzą, że brodzę
W łzach—co mnie znali—
Więc puszczam wodze...
Dalej w świat, dalej!

Lecz dziś nie drży mi
Łza pod powieką...
Chcę przed swoimi
Uciec daleko...
W smutku i trwodze
Duch się nie żali —
Więc puszczam wodze...
Dalej w świat, dalej!

Choć mi pieszczoty
Żądzą szaloną
Jej ócz blask złoty
Zapala łono,
Lecz serce zwodzę,
Mówiąc mu: szalej! -
Więc puszczam wodze...
Dalej w świat, dalej!

Wiem, że jest kłamną
Nadzieja płocha;
Ni tęskni za mną,
Ani mnie kocha!..
Byłem niebodze
Dał sznur korali
Więc puszczam wodze ..
Dalej w świat, dalej!

Niechże odwleka
Los chwilę zgrzytu...
I tak mnie czeka
Nuda przesytu...
W łuny pożodze
Zachód się pali
Więc puszczam wodze...
Dalej w świat, dalej!

Coraz bezkreśniej
W przestrzeń otwartą!!...
Później, czy wcześniej
Pierś bolem zżartą
Obcy mi w drodze
Kamień przywali —
Więc puszczam wodze...
Dalej w świat, dalej!

Władysław Nawrocki.



Brody krzyżackie.

(Wspomnienie historyczne.)

Jesteśmy w roku tysiącznym pięćsetnym na zamku w Krakowie, w kościele św. Stanisława. Nabożeństwo już się skończyło, gromadka pobożnych opuściła świątynię, przecież nadzwyczajny jeszcze ruch w niej panuje. Liczna służba kościelna stroi dom Boży ku jutrzejszej koronacyi pierwszej małżonki króla Zygmunta Starego, urodziwej Barbary Zapolskiej. Jedni opinają kościół drogiemi makatami, drudzy wynoszą ze skarbcu złote i srebrne naczynia kościelne i według zwyczaju zdobią niemi ołtarze, inni wreszcie odświeżają kosztowniejszą jeszcze tego ozdobę świętego miejsca, zawieszone u grobowca św. Stanisława *vota pobożne*, chorągwie nieprzyjacielskie w zwycięzkich bitwach zdobyte i mnogie inne przeróżnego kształtu pomniki bogobojnej wdzięczności dawnych pokoleń.

Tylko dwie obecne w świątyni osoby, jedna w bogatym węgierskim stroju, druga w białym płaszczu krzyżackim, zachowują się bezczynnie, przynajmniej bezczynnie ciałem, śród tego ruchu. Są to dworzanie przybyłych na weselną i koronacyjną uroczystość książąt sąsiednich, Naderspana, wojewody węgierskiego, i Fryderyka margrabi na Brandenburgu. Pragnąc jak najspieszniej obaczyć słynne wówczas na całą północ miejsce cudowne, zwrócili obaj pierwsze swe kroki po przybyciu do miasta ku świątyni i weszli niepostrzeżeni w jej progi. Osobliwie na Krzyżaku malowała się niecierpliwość ujrzenia przybytku, w którym tyle sztandarów krzyżackich z pod Grunwaldu ocieniało trumnę świętego patrona Polski, malowała się ciekawość przeświadczenia się naocznie o mnogich groźnych dziwach, jakie w Niemczech słyszał o tym grobowcu. Podczas gdy Węgier pobożnie u wnijścia klęczał, Krzyżak nie umaczał ręki w kropielnicy, nie przeżegnał się nawet u wstępu, lecz z nader światową skwapliwością zdążał naprzód, szukając oczyma pomnika męczeńskiego. Nakoniec stanął przed nim. Ale jeśli już sposób jego zbliżania się do tego miejsca słuszne wbudzać mógł podziwienie, jeszcze dziwniejszym był jego pierwszy rzut oka na sam grobowiec. Był to wzrok wyraźnego oburzenia i przestrachu. Zmarszczył brwi, owinął się ciaśniej w swój biały płaszcz o znanym krzyżu, i chwycił się machinalnie za długą rudą brodę — ową brodę, która tak istotną cechę Krzyżaka stanowiła, że ich wszystkich zwano u nas pospolicie tylko „brodaczami o czarnym krzyżu, *barbati nigra cruce signati*''. Mniemałby może kto, iż ten wzrok gniewny wyrażał patryotyczną zniewagę na widok wiszących tu proporców grunwaldzkich i tanenberskich. Bynajmniej. W tych czasach żaden Krzyżak nie czuł upadku swego zakonu, nie marzył o wielkości i sławie. Jedynym celem jego życzeń — celem, który w istocie za lat kilka zrzuceniem płaszcza zakonnego szczęśliwie miał osiągnąć — był kufel z piwem, były kostki szulerskie, żona dorodna i wszelkie rozkosze spokojnego żywota. Wszekże i przy tych rozkoszach, i właśnie przy nich bardziej niż w jakiemkolwiek innem położeniu — chodziło Krzyżakowi o całość swojej osoby, o całość swojej „skóry'', o swoją — brodę. A tu przed nim, przed jego żywemi oczyma, wisiały obok krzyżackich chorągwi, poodzierane Krzyżakom pod Grunwaldem, pooddzierane Wielkiemu mistrzowi i pobitym komturom, pooddzierane i ze skórą czarne, rude i jasnowłose brody. Co dotąd za granicą tylko z niepewnej tradycyi gminnej, tylko z kronikarskiej znał wieści, to ujrzał teraz przed sobą

w niewątpliwej, w namacalnej rzeczywistości. I ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciołom brody ze skórą odziera i w kościele jako pobożne zawiesza *votum*. Miłe odkrycie, zjechawszy na wesele! Nuż który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności! Potrzeba tylko zwyklej zwady weselnej, aby... Strach zdjął Krzyżaka. Odwrócił się ze zgrozą od okropnego widoku. Zimnym dreszczem drżący, wyszedł obok klęczącego u drzwi Węgra z kościoła i dopiero na dworze, pod bożem niebem wolniej odetchnął.

Jak nasz Krzyżak w tej chwili, tak wielu krzyżaków przed nim, tak wielu gościną w Krakowie bawiących Niemców, zwłaszcza Prusaków, opuszczało co rok z oburzeniem katedrę na Wawelu. Domowe podanie o brodach w Krakowie ciągnęło ich za przybyciem tamże ciekawie do kościoła, a doznany w kościele widok, opisywany z przestrachem rodzinie i przyjaciołom w domu, dodawał coraz więcej wiarogodności podaniu. Niebawem stało się ono świętym artykułem wiary „ludowej''. A zakorzeniwszy się w ludzie, w życiu przeszła ona także w literaturę, w kroniki. Który tylko kronikarz pruski opisywał odtąd bitwę Grunwaldzką, każdy miał się święcie do obowiązku przytoczenia szczegółu, iż zabitym mistrzom i komturom brody ze skórą odcięto, i w Krakowie na zamku w ofierze zawieszono. Znajdziesz tę wiadomość we wszystkich głównych pisarzach z końca piętnastego i pierwszej połowy szesnastego stulecia, w szczególności: Szymona Grunaua Kronice pruskiej, *Tract* XIX. C. XII. § 3. (Voigt Histor. Prus. VII) w Kaspra Schütza Historyi pruskiej, str. 102, w Kaspra Hennebergera Opisaniu Prus str. 300.

Nie dość na tem. Jużto tedy ustną, jużto pisemną drogą, rozeszło się straszne podanie niemieckie po za granice swojej ojczyzny, po stronach okolicznych. I tak np. doszło ono aż na Ruś, do uszu albo oczu autora wydanej przez szanownego Teodora Narbutta kroniki ruskiej z 15-go lub 16-go wieku, zwanej powszechnie: „Kroniką litewską Bychowca.'' Jakby od naszego przerażonego Krzyżaka oświecony, lub jakby wiadomość swoją dosłownie z przytoczonych powyżej kronikarzy pruskich przepisał, opowiada ten latopisiec litewski (wydanie z r. 1846 str. rękop. 77—78).

„Połowicu choruhwej nemeckich i borody Mistrowu i wsich kuntorów jeho zmertwych obodrawszy, połowicu wziali do Polski, a połowicu do Litwy, hde toje borody i choruhwi w zamku krakowskom w cerkwi św. Stanisława, a w Wilni także u św. Stanisława zawieszony sut.''

Wreście rozpleniwszy się tym sposobem po przestrzeni świata, rozprzestrzeniła się wieść nasza również w przestrzeni czasu. Wiek 16-ty podał ją 19-mu; Grunau, Schütz, Henneberger — Kotzebuemu. I ten w swojej „Dawniejszej historyi Prus'' tom III, str. 372, nie pominął krwawej pamiątki w kościele katedralnym krakowskim, nie omieszkał wzdrygnąć się nad okrucieństwem Polaków. Jeszcze tylko potrzeba było, aby podanie pruskie, podbiwszy sobie tyle zdań, tyle ziem, tyle wieków, zhołdowało ostatecznie wiarę samych Polaków. I owo zdarzyło się i u nas samych, iż zacny Teodor Narbutt, autor 9-tomowej Historyi Litewskiej, jedynego w swoim rodzaju a w naszych stronach, ze wstydem wyznać przychodzi, prawie wcale nieznanego dzieła, pracował właśnie nad tomem szóstym, a w nim nad historyą bitwy grunwaldzkiej. Opisując śmierć wielkiego mistrza Ulryka, nie wiedział zrazu, czy ma przyjąć wiadomość o jego i komturów brodach odciętych: gdy wtem przypomniał sobie zdarzenie swojej własnej młodości, które rozstrzygnęło jego niepewność. Dla zabawnej treści jego młodocianego wspomnienia, przytaczamy je tu własnemi słowy autora, jak ono w jego „Historyi Litwy''; w 6-m tomie, 6-m dodatku, na str. 45—47 jest umieszczone.

* * *

„Pamiętam'' — mówi czcigodny dziejopis Litwy — „gdym jeszcze chodził do szkół w Wilnie, jak opowiadał przed ojcem moim ksiądz Korzeniewski, proboszcz kościoła św. Jana i zawiadowca przy fabryce kościoła katedralnego, mój krewny po matce: Po przeniesieniu nabożeństwa, mówił on, z tego kościoła do św. Jana, skarbiec kościelny, ulokowany w jednym ze składów kapitulnych, pod ostatnie czasy zamieszań krajowych i po zgonie księdza biskupa Masalskiego, przyszedł w wielki nieporządek. W końcu gdy wejście do miasta wojska rosyjskiego zagrażać poczęło, rozmaici urzędnicy kapitulni, obawiając się o reszty bogactw kościelnych roztratę, pobrali do przechowania paki i kufry, będące w skarbcu. Jeden z niższych tych urzędników, rozumiejąc, że to jest skryty podział, prawem własności, gdyż w nocy przewożono te rzeczy dla ukrycia przed okiem niepotrzebnych ciekawców, starał się coś na swoją część dostać. Trafił do składu pod ciemny wieczór i tam, znalazłszy jeszcze ogromną szkatułę, okutą sowitemi sztabami żelaza, kazał ją wydźwignąć z miejsca i zanieść nie bez trudności najętym drągalom do swojego mieszkania. Skarb ten zapomniany zapewne od bardzo dawnego czasu, nabawiał ciekawości swego lokatora. Zwierzył się ze swej troski jednemu przełożonemu zakonnikowi i uradzili obaj, że w tej szkatule musi być coś nadzwyczajnego. Ona śni się we śnie, zjawia się w myśli czuwającego nieustannie, i zajmuje do tego stopnia wyobraźnię, że zdaje się wszędzie za nim biegać, latać, przesuwać się.

„Ależ pamiętaj księże'', — mawiał przełożony — „iż dawniej Twardowski mieszkał w Wilnie i wiele po nim rzeczy tu pozostało. Być mogło, że i ta skrzynia do tej kollekcyi przeklętej należała. Przy miejscu świętem stała sobie spokojnie, dziś kto wie, co z niej wykluć się może. Lepiej gdzie przy kościele postawić, lub odesłać *ad locum priscum*''.

Ksiądz na drugie przystał. Lecz miejsce skarbca już było zajęte na skład gipsów, marmurów połamanych i różnych podobnych rzeczy. Zdarzył się wkrótce i trzeci powierzeniec. Ten wysłuchawszy opowiadań o dziwnej szkatule, zrobił wniosek, że przełożony przesadzone rzeczy wymyślił zapewne, aby się w jego ręce dostał ten skarb zaklęty. Wnet więc doradził odbić i obaczyć co jest w środku.

„Nie, nigdy na to nie zezwolę'', — rzekł ksiądz. — „Mogliby do mnie urościć pretensyą. Przełożony, jak widzę, paplacz wielki. Dowiedziawszy się o tem, wprowadziłby mię w kłopoty''.

„On paplacz''? — zapytał powierzeniec. — „Alboż to WPan dziś o tem się dowiedziałeś? Wiedzże, że ja od szóstej czy od siódmej osoby już wiem od tygodnia o wszystkiem i tylko szukałem zręczności wybadania u W. Pana bliżej o tem.''

Przyszło więc do tego, że ksiądz udał się do biskupa Wołczackiego, zarządzającego dyecezyą podówczas, wyznał rzecz całą i prosił o przyjęcie szkatuły. Biskup długo wypytywał, śmiał się z księdza, w końcu zebrawszy kilku z oświeceńszych duchownych kapituły, kazał przywieźć szkatułę i w oczach swoich odbić.

„Jakież było zdziwienie nasze, — mówił ksiądz Korzeniewski, obecny przytem, — kiedyśmy oprócz niezmiernej ilości pyłu, przykrywającego zawinięcie, nic więcej nie znaleźli. W rzeczy samej to zawinięcie zdawało się magicznem, lekkie, obwiązane porwanymi sznurami kolorowego jedwabiu rozmaitej grubości; najcieńszy był jak palec, inne splecione po szmuklersku. Po rozwinięciu postrzegliśmy, że to były szczątki chorągwi i chorągiewek. Inne miały ślad frezlów złotych, srebrnych i kutasów, na innych były na-

szyte jakieś znaki, niewyrozumiałe dla dawności zepsucia. Ten zaś cały pęk gałganów obejmował w sobie rzecz dziwną. Był to sznur pleciony z jedwabiu czerwonego, długi więcej sążnia, do którego wplecione były na długości około półpięta łokcia, brody ludzkie rozmaitej długości i barwy, prosto jakby ze skóry odarte, siwe, czarne, ryże i t. d. Nikt nie umiał objaśnić, coby ten feston z bród znaczył. Jedni wnosili, że to jakiś zabytek z czasów poganizmu; drudzy, że żydom kiedyś za jakie świętokradztwo odarto po pół brody ze skórą żywym, i te na pamiątkę zachowane być musiały przy kościele, razem z trofeami zwycięztw, których szczątkami były owe chorągwie.''

„Rzecz poszłaby w zapomnienie wieczne'' — kończy szanowny Narbutt — „gdybym nie znalazł w kronice rękopisnej litewskiej Bychowca str. 77—78 wyraźnego śladu o brodach krzyżackich podczas bitwy pod Grunwaldem z poległych przełożonych zdartych. Były więc te brody w kościele katedralnym wileńskim zawieszone razem z chorągwi połową. Lecz tak już dawno zdjęto pamiątki te, że nikt o nich nie pamiętał. Nawet podanie poszło w zapomnienie. Stało się to zdjęcie zapewne podczas przerabiania kościoła po pożarze, w r. 1610 przydarzonym. Przeto mogło leżeć w skrzyni okutej sto ośmdziesiąt i kilka lat. Gdzieby się podziały nie wiem; gdyż i ksiądz Korzeniewski już nie żyje. Może w składach kapitulnych czy katedralnych, znalazłby się ślad jaki jeszcze''.

* * *

Mamy teraz nielitościwie rozwiać cały urok tego młodocianego wspomnienia, które zacny historyk Litwy w tak szczęśliwą godzinę „zapomnieniu wiecznemu'' wydarł? Mamyż świętokradzką ręką targnąć się na utwierdzoną już wszelkimi warunkami nieomylność tego gminnego podania, uszlachconego wykazaną powyżej genealogią tylu stopni, uświęconego wiarą tylu pokoleń, już nawet za udowodniony fakt w historyę ojczystą przyjętego?

Nie. Jesteśmy nieśmiali. Wolimy natomiast dokończyć naszą przerwaną powieść o przestraszonym Krzyżaku.

Wybiegłszy z kościoła, zapragnął koniecznie żywej duszy, przy której mógłby utulić swą niespokojność, ogrzać dreszcz przelęknienia. Zlitowanie niebios sprowadziło go wkrótce z rodakiem i znajomym. Był to Jodok Ludwik Deciusz, sekretarz króla Zygmunta, jeden z owych osiadłych niegdyś w Polsce cudzoziemców, którzy doznane w nowej ojczyźnie łaski szczerą miłością ku narodowi, a znaleziony tu chleb nierzadko przyniesionem ze sobą światłem odwdzięczali. Deciusz, jak wiadomo, prócz kilku pism pomniejszych, zostawił rys pierwszej połowy rządów Zygmunta, szacowny zabytek do historyi panowania Jagiellończyków. Duszą i ciałem rozmiłowany w swoich przybranych spółziomkach, miał on zawsze słowo pochwały dla nich, słowo przygany i skarcenia zasłyszanych przypadkiem cudzoziemczych oszczerstw na ustach. Znał go nasz krzyżak z tego względu i przeto nieśmiał wystąpić od razu z wybuchem swego gniewu. Owszem, gdy się po pierwszem przywitaniu ciągła zawiązała rozmowa, począł z krzyżacka, obłudnie, chwalić obyczaje narodu, bogactwo panów i mieszczan, gościnność wszystkich.

„Tylko jedno'' — dodał, spoglądając z ukosa na towarzysza, — „obraża tu oko przybylca i szkodzi samym Polakom. Szkodzi, bo rozjątrza umysły cudzoziemców, skąd dla Polski wielkie z czasem niebezpieczeństwo wyniknąć może.''

„Nie rozumiem'', — przejął Deciusz. — „O czem to mówisz?

„A o brodach naszych w kościele''.

„O jakich brodach''?

„Toć o brodach wielkiego mistrza i komturów grunwaldzkich, co wiszą u grobowca św. Stanisława''.

Deciusz począł śmiać się z całego gardła. Krzyżak spojrzał nań jadowitem spojrzeniem i rzekł po chwili: „Nie myślę, abyś szydził z krwi twoich ziomków''....

Deciusz wciąż jeszcze śmiał się.

Krzyżak zdawał się być nieco zmieszanym tą wesołością i dodał: „Może zechcesz wmówić we mnie, że to nie brody. I ja nie byłem pewnym tego przed półgodziną. Lecz teraz naocznie się przekonałem . Cóż to innego być może, jeśli nie brody''?

„Co?'' — powtórzył Deciusz, ocierając sobie oczy, zaszłe łzami od śmiechu. — „Co? To buńczuki tatarskie — buńczuki i zwyczajne u tatarskich hanów i murzów ozdoby rzędów końskich, złożone z włosieni końskich, a przyczepiane rumakom książąt tatarskich wzdłuż szyi od uzdy aż do siodła, co Polacy po każdem zwycięztwie nad pogaństwem wraz ze zdobytemi chorągwiami Bogu i św. Stanisławowi, patronowi królestwa, w Krakowie i w Wilnie w ofierze składać zwykli.''

Krzyżak rzucił niedowierzającym wzrokiem na przyjaciela. Ten, wstrzymując się od nowego przystępu śmiechu, ciągnął dalej: „Mogę cię o tem zapewnić. Toć w moich własnych oczach niejeden taki buńczuk, niejedną taką różnowłosą taśmę u św. Stanisława zawieszono. Niema jeszcze lat sześciu, jak ich co niemiara pod Kłeckiem na Tatarzynie zdobyto. A i teraz, jeśli (da Bóg) sprawdzą się świeżo nadeszłe wieści o walnem nad Tatarami zwycięztwie pod Wiśniowcem, przybędzie tryumfalnych ozdób świątyniom. Więc nie frasuj się, miły bracie, i płochem, ba śmiesznem podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu... Ale widzisz ówdzie tego dziewięćdziesięcio-letniego staruszka? To pan Betman, żupnik krakowski, także niemieckiego rodu. Pójdź, on ci prawdę słów moich potwierdzi.''

Opisane tu spotkanie się dworzanina margrabiego z Deciuszem, jego pomyłkę na widok buńczuków i rzędów tatarskich w kościele, wreszcie szczęśliwe wyjaśninie mu całej rzeczy, opowiada sam Deciusz w swojem piśmie: „*De Jagellonum familia*''.

K. S.



Mogiła maciejowicka.

Wspomnienie historyczne

z lat dziecinnych.

Cudnyż bo był dzień 10. października 1861 roku, wrzące promienie słońca zlewały się potokami na ziemię, na której jesień położyła swe piętno, pola to szarzały świeżo zoranymi łanami, to zieleniły się ową pyszną zielenią szmaragdu wschodzących ozimin, lub żółciły rżyskiem, na którem rosły swobodnie złote z białym rąbkiem rumianki i krwawa koniczyna. Drzewa lśniły złotem i purpurą a w dali wielkie odwieczne bory przybrały ton ciemnej zieleni, na której gdzieniegdzie złociły się konary wielkich dębów.

Szeroką drogą z Maciejowic do Oronnego płynęły tysiączne tłumy ludu; na przodzie niesiono sztandar biały, gdzie na tle amarantu rozpościerał dumnie skrzydła, srebrnopióry orzeł; za nim postępowały czerwone i błękitne sztandary kościelne; potem grono młodych panien i dziewczątek, których białe suknie, przepasane przez ramię czarną wstęgą, oznaczały żałobę. Każda z nich miała w swoim ręku wieniec z zieleni lub kwiecia z szarfą narodową lub żałobną; dalej szedł kapłan w komży z cierniową koroną w ręku; a za nim różnobarwne fale ludu.

Były tam szare siermięgi wieśniaków, suto szamerowane czarno, czerwono lub niebiesko, — ciemno - granatowe kapoty mieszczan, lśniące kolorami tęczy stroje wieśniaczek i mieszczek, a białe „chłopki'' pierwszych i czepki

wiązane kolorowemi wstążkami drugich lśniły białością lilji, na ogólnem ciemnem tle tłumu, wśród którego spostrzedz można było czarne ubrania „panów“ i „panie“ w grubej żałobie.

Fale ludu płynęły zwolna, poważnie, napełniając przestwór tą bezbrzeżną skargą — modlitwą:

. . . .

„Rok po roku marnie leci,
„My w niewoli, my w niewoli!“

. . . .

W połowie drogi, wysadzanej lipami i białą topolą, pod jedną z odwiecznych lip, ustawiono ambonę z białej brzozy, dokoła niej lud rozlał się szeroką falą, po obu stronach drogi.

Cisza zaległa, gdy kapłan ukazał się na ambonie.

W słowach krótkich, zwięzłych, jasnych, zastosowanych do pojęć większości słuchaczy, kapłan przedstawił życie i czyny wielkiego Naczelnika-bohatera i kończył temi słowy:

Tak najmilsi! — On porzucił dostojeństwa, honory, zaszczyty, jakie mu ofiarowano u obcych, aby oddać życie swoje za Ojczyznę, którą nad wszystko umiłował. Tu na tych polach krew jego się polała a ten kopiec, usypany naszemi rękami, który dziś poświęcimy, wznosi się w tem samem miejscu, gdzie nasz Naczelnik ranny spadł z konia, i przez Moskali wzięty był do niewoli.

A wiecie wy, co to jest Ojczyzna? Ojczyzna — to ta ziemia, po której od dziecka stąpamy, która nas żywi, — w którą wsiąkło tyle łez — tyle krwi ojców naszych, w której kości ich spoczywają, a i nasze, jeśli Bóg pozwoli — spoczną. Ojczyzna, — to te pola, te łąki, te lasy, — to niebo, które nas otacza, — to powietrze, którem oddychamy...

Sto lat dobiega, jak wróg wlazł nam na kark, sto lat, jak jesteśmy w niewoli! — lecz Bóg nam dopomoże, nam pobłogosławi.....

Okiem ducha widzę ciężkie, czarne chmury, zbierające się nad nami, słyszę groźny huk dalekich grzmotów, wkrótce może rozszaleje burza nad naszą nieszczęsną Ojczyzną! — Najmilsi! czeka nas droga pełna cierni, łez, krwi i bolu, a więc na tę drogę błogosławię was!..

I wzniesiona ręka kapłana nakreśliła cierniową koroną znak krzyża nad pochylonemi głowami tysięcy ludu. — Cisza — cisza grobowa zaległa dokoła, przerywał ją tylko szelest pochylających się sztandarów, stłumione łkanie, wyrywające się z niektórych piersi i szmer purpurowych liści, które, jak łzy krwawe, padały na głowy zebranych...

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy procesya stanęła u stóp kopca. Niestety, nie wszyscy mogli się zbliżyć, gdyż kopiec z trzech stron otaczała olszynka, rosnąca na trzęsawiskach.

Kapłan odmówił stosowne modły, pokropił mogiłę i złożył na niej koronę cierniową, za nim złożyły swe wieńce młode dziewczęta, sztandary się pochyliły, oddając hołd najwierniejszemu synowi Ojczyzny. Kapłan ukląkł i zaintonował ten wzniosły, do głębi wzruszający duszę każdego, hymn:

„Święty Boże! — Święty mocny! — Święty a nieśmiertelny! — Zmiłuj się nad nami!“

. . . .

Wszyscy padli na kolana, sztandary się pochyliły jeszcze niżej, pieśń nabożna leciała hen ku niebiosom, gdzie na zachodzie paliły się wszystkie kolory tęczy, złociły — srebrzyły okoliczne pola, łąki i lasy, przesiewały się przez złoto — purpurowe liście olszynki, rzucając blaski i cienie na ten rozmodlony lud, który kornie schylony błagał:

„O Jezu! Jezu! Jezu! — zmiłuj się nad nami!“

Pieśń umilkła, głęboka cisza zaległa, lecz wkrótce buchnęła ku niebu ta straszna skarga bluźniercza:

„A gdzież ten ojciec, a gdzież ten Bóg?“

. . . .

Powietrze napełniło się skargą, jękiem i łkaniem, wraz z ludem łkały drzewa, pola, łąki i okoliczne lasy, łkała cała przyroda. Na zachodzie złote blaski gasły powolnie, zamieniając się w ton ołowiano-czarny, jak dola tej nieszczęsnej krainy! — A z tysiącznych piersi, jak huragan, to wybuchała grzmotem, to cichła, to błagała modlitwa do Boga, aż w końcu zabrzmiała tryumfem....

Pusto dokoła, gwiazdy migocą na szarym horyzoncie, koronkowe mgły otuliły mogiłę Kościuszki i przyległą olszynkę, wiją się, snują, tworząc fantastyczne cienie, coś jak rycerzy idących do boju... a szmery dziwne drgają w powietrzu, jakby dalekie echa szeptały:

. . . .

„Pójdziemy... wszyscy.......................

. . . .

Po okolicznych dworach, po domkach mieszczan, po wieśniaczych chatach, długo tej nocy gwarzono... Na czołach starszych osiadała troska, z przebłyskami nadziei, w oczach młodych zapalała się chęć czynu........

W kilka dni potem wśród ciemnej nocy, siepacze cara otoczyli plebanię w Maciejowicach, uwożąc księdza Burzyńskiego do warszawskiej cytadeli...

. . . .

Czy mogiła ta do dziś istnieje, czy ostała się ona przed wściekłą zemstą odwiecznego wroga?...

Józefa z Zagórowskich Anc.

Królowa Nimf.

BAŚŃ.

Było to na Żmudzi w użwarmskich lasach.

Przez wąską drożynę, zarosłą tu i owdzie cierniowemi krzakami, głogiem i pokrzywą — podążał młodzieniec cudnej urody, — zwolna, ostrożnie... rękami torował sobie drogę i chociaż ciernie krwawiły mu ręce a pokrzywa piekła, on jednak na to nie zważał.

Był mrok. Po niebie mknęły białe chmurki, z po za których chwilami wynurzał się księżyc i strugą srebrnego światła oblewał las cały.

Jakiż dziwny urok miała wtedy ta leśna ustroń... Wietrzyk poruszał lekko korony drzew i zdawało się, że drzewa wiodą między sobą tajemniczy rozhowór. Tam w dali stał karłowaty pień, podobny do legendowego dziadka, który odwiecznie służy leśnym boginiom. Dziadek zdawał się muskać swoją siwą brodę, a oczy świeciły jak szmaragdy.

Tu znowu głóg w białej szacie podobny był do upiora.

W środku leśnej puszczy, na ogromnej przestrzeni bagnisk i topieli, mieszka królowa użwarmska z licznym dworem boginek, faun i czarownic.

Lud prawi cuda o tej królowej, która pięknością swoją nęci młodzieńców po to tylko, by ich uczynić swoimi niewolnikami.

I mówi lud, że gdy się znajdzie taki młodzieniec, który ją zniewoli dla siebie — tedy posiądzie skarb wiecznego szczęścia, bo królowa użwarmska jest wiecznie piękna i cnotliwa.

. . . .

Już chmurki znikły z niebios i między gwiazdami płynie sam majestatyczny księżyc, szczodrze oświetlając ziemię.

Młodzieniec przeszedł właśnie ścieżkę i stanął na murawie. Kruczy włos spływał mu po ramieniu — a oczy duże utkwił w przestrzeni, jakby coś śledził... Przed nim rozciągał się obszar moczarów zarośniętych wikliną i bużanem. Błędne ogniki migotały niby gwiazdki rozsiane na czarnym kobiercu, a obok pagórka, unoszącego się tuż nad murawą, srebrzyła się bezdenna topiel. Cisza panowała w około i tylko czasem od strony lasu dolatywał szmer poruszanych wietrzykiem gałęzi.

Młodzieniec zdjął z głowy czapeczkę, przewiesił ją na gałce laski, którą się podpierał, ręką zgarnął z czoła włosy, westchnął i popatrzył w tajemniczą przestrzeń.

Cisza... W tem z pagórka ozwał się głos cienki, chrypliwy...

— Co cię tu sprowadza duszo błędna?

Drgnął młodzian, spojrzał na pagórek i zobaczył leżącego na nim staruszka z siwą brodą, w kapturku na głowie i błyszczącego zielonemi oczyma.

— Pragnę zbadać tajemnicę królowej i ogłosić światu prawdę — rzekł.

Cha! cha! cha! — rozległ się w powietrzu drwiący śmiech, zamiast odpowiedzi.

Młodzieniec zadrżał, ale wnet się uspokoił i zapytał:

— Ktoś ty?...

— Sługa tajemnicy, którą zbadać pragniesz.

— Jakimkolwiek jesteś duchem, wzywam cię w imię potęg, którym służysz; prowadź mnie do królowej cnoty i piękności, o której mówią, że jest niebezpieczną.

Staruszek zstąpił z pagórka i stanął przed młodzieńcem, a był tak mały, że zaledwie sięgał mu głową do pasa.

— Jeżeli jesteś odważny pójdź za mną — rzekł i poszedł naprzód. Za nim kroczył młodzieniec.

— Śmiertelny szuka ideału wiecznej cnoty i piękności!! — mruknął starzec i odwróciwszy się, zagadnął:

— Czy koniecznie pragniesz ujrzeć królowę? pragniesz zbadać cud... śmiertelną ręką dotknąć ideału?

— Tak ojcze!

— Prawda tkwi w nurtach; świat się o niej nie dowie — wiedz o tem... Patrz! — rzekł staruszek, wskazując ręką przed siebie.

W tej chwili zakrakały w powietrzu sępy, w szczelinach krzewów coś jękło... woda poczęła się marszczyć i... rój prześlicznych dziewic wynurzył się z topieli. Każda z tych dziewic miała na głowie wianek mirtowy, ponad którym u czoła świecił ognik, niby gwiazda złota.

Jasno było w około. Młodzian patrzył na to cudne zjawisko i nie mógł oderwać oczu — nęciły go nimfy, — każda innym gestem, innem spojrzeniem wabiła miłośnie... czarująco. Pośród tych ciemno i jasno-włosych boginek, jedna była tak piękną, że na jej widok zachwiał się młodzieniec.

Była tuż przy nim. Widział jej ponętne kształty, wyciągnął do niej drżące ręce i jak zaklęty patrzył w jej czarujące oczy...

— Ach! — dotknął się jej ramion!!

. . . .

Czarowny obraz zniknął, w wodzie coś plusnęło...

. . . .

To młodzian ów padł ofiarą w pogoni za ideałem!

W miejscu, w którem utonął w uściskach królowej nimf — woda trysnęła tysiącem pereł i roztoczyła swe kręgi daleko... Na każdym z tych kręgów siedziały skrzydlate dzieci — jedno obok drugiego. Było ich tysiące... Śpiewały i grały na instrumentach z wodnych ziół tak melodyjnie a wesoło, że wszystkie czarownice powychodziły z kryjówek i z faunami zawiodły ochoczy taniec.

Po chwili wszystko ucichło.

. . . .

Na murawie pod pagórkiem, w miejscu gdzie niedawno stał śmiały młodzian — usiadło kilku garbusków obok znanego nam staruszka, który prawił im w te słowa:

— Dawno już temu żyłem między ludźmi na świecie, — będąc młodym chłopcem, kochałem się w dziewczynie pięknej jak malina, a dobrej jak nasza królowa.

— Chi! chi! chi! Dziadziuś lubi malinki!

— Cha! cha! cha!... chórem zachichotano dokoła.

— I... i... i... ciągnęli piskliwie.

— Byłem ubogi, ona wyszła za bogatego.

— I... i... i... przerwali niesforni słuchacze.

— Nie myślałem już więcej o niej — ciągnął zwolna staruszek — i szukałem bardziej idealnej dziewicy.

— I... i... i...

— I... znalazłem taką, ale wtedy byłem już nieco za stary.

— Chi! chi! chi!... rozległ się śmiech garbusków.

— Ona była królową piękności i... cnoty!

— Nasza pani?!... — skwapliwie przerwali słuchacze.

— Cicho, cicho!

— Ci...cho!...

— Oczarowała mnie bogini, porwała i kazała sobie służyć. Tak-to starym bywa. Inny los czeka tego młodzieńca, którego umiłowała i do swej wonnej przycisnęła piersi. On młody, zginął dla świata, ale osiągnął wieczną miłość cudnej naszej pani.

. . . .

Gdy staruszek kończył swe opowiadanie — okazał się właśnie na niebie pierwszy promień zorzy porannej i... wszystko znikło.

Józef Jarosz Rychter.



Strumyk.

W cieniu olszyny,
W cichej dolinie,
Srebrzysty strumyk
W dal leśną płynie.
Słońce go złoci
Z nieba jasnego,
A drobne fale
Szemrzą i biegą.

Piosnka strumienia
W leśnej ustroni
Mojemu sercu
Wspomnieniem dzwoni.
Tak je łagodzi,
Tak je kołysze,
Aż się roztapia
W marzenia, w ciszę.

Najlepsze lata
Stają przed okiem,
Z uczuć zapałem,
Z rojeń urokiem;
Z tym idealnym
Pieśni aniołem,
Co ludzkie łono
Czyni kościołem.

Cichy strumyku
W dolinie smętnej,
Jakżeś ty moim
Myślom pamiętny!
Jakżeś ty drogi
Duszy śpiewaczej
W godzinach zwątpień,
W chwilach rozpaczy.

Bo widzę wtedy
Letnie wieczory,
Gdy wschodzi księżyc
Nad senne bory,
Gdy świat się pławił
W zachodu zorzy,
A po tej ziemi
Szedł anioł Boży.

Szedł z harfą złotą
Leśną ścieżyną,
Za nim sny jasne,
Jak ptaki płyną.
I w zadumane
Oczy młodzieńcze
Siał zaświatowe
Blaski i tęcze.

Strumyka wody
Piosnką gwarzyły,
W młodem się sercu
Echa budziły,
I nieubrane
W słowa i dźwięki,
Pierś rozsadzały
Cudne piosenki.

Dziś znów w te strony
Idę daremno,

W oczach tak łzawo,
W sercu tak ciemno.
I próżno dawnej
Wzywam pogody:
Szczęście spłynęło,
Jak twoje wody...

Or-ot.



Wycieczka do Aten.

Napisał *Henryk Sienkiewicz*
(Dokończenie.)

Chodzi się cicho, bo wszystko, co nas otacza, tak doskonale umarłe, że się nam nasze własne życie, nasz własny ruch, wydaje czemś obcem i niewłaściwem w tych miejscach.

Gdyby się spotkało znajomego, wołałoby się z nim nie mówić, tylko spojrzeć mu pytająco w oczy i przejść i siąść gdzieś w cieniu i patrzeć: jak słońce zatapia w blaskach rumowisko.

Bo tu światło, jak już mówiłem, nie pada, ale, zwłaszcza o tej godzinie, leje się potokiem. I zdawaćby się mogło, że te gorące, żywe zdroje są czemś przeciwnem ruinie, temu zniszczeniu i tej śmiertelnej ciszy. Gdzietam ! I ruina i zniszczenie zyskują tylko przez nie większą wyrazistość — niemal nieubłaganą.

Więc siedzisz, patrzysz na to kamienne uroczysko, na zatopione w świetle marmury Parthenonu i Erechtejonu, aż wreszcie coś wstaje od ruiny, idzie i wstępuje w ciebie. Zaczynasz się jednać z tym światem, później bratać. Wtedy ci jest dobrze, bo wchodzi w ciebie ogromny spokój, ale to taki ogromny, jaki tylko może mieć kamień i ruina.

Ich cisza staje się ciszą wędrowca. A przypuszczam, że im więcej kto ma duszę obolałą, tem mu tam musi być lepiej. Chciałoby się głowę oprzeć o pilastr kolumny, zamykać i otwierać naprzemian oczy — i koić się. Coraz bardziej robi się swojsko, coraz przyjaźniej spogląda wędrowiec na te rozległe linie Parthenonu, na biały Erechtejon i na leżące niżej Propyleje. A trzeba to chyba widzieć, aby pojąć, jak się owe złotawe ze starości budowle rysują w słońcu i błękicie, jaki spokój tych architrawów, tych szeregów kolumn i frontonów! Prostota, spokój, powaga i prawdziwie boski ład — oto one. Odrazu trudno tego dostrzedz; czar działa zwolna, ale tem mocniej przenika i w końcu upaja. I poznajesz, wędrowcze, że nie sam tylko spokój dały ci te arcydzieła, ale że cię upoiły własną pięknością, a co za tem idzie: i słodyczą.

I oto są stopniowe wrażenia, przez jakie się przechodzi na Akropolu. Gdy jesteś tam na miejscu, działają one tak silnie, że nikomu do głowy nie przyjdzie otworzyć drukowany przewodnik i szukać w nim szczegółów. W domu dopiero wyczytasz, że świątyńka Nike Apteros, niedawno z gruzów została na nowo złożona; że lord Elgin zabrał do British Museum jednę z przecudnych karyjatyd, podpierających prawy portyk Erechtejonu; że tamże powędrowały metopy parthenońskie; że wybuch prochów tureckich był przyczyną ruiny środkowej części celi tej świątyni; że odlewy metopów można widzieć w muzeum, na tejże skale leżącem; że w Erechtejonie był harem baszów itp.

W pierwszej chwili również wszystko ci jedno, że Parthenon jest zbudowany w czystym stylu doryckim, Erechteion i Nike Apteros są jońskie, a w Propyleach znajdują się kolumny obydwóch porządków. Wiedziałeś to już przed przybyciem do Aten. Tu wieje na cię przedewszystkiem ogólny duch, a raczej geniusz dawnej Hellady — i tchnienia tego rozpraszać, ani analizować nie chcesz.

I wnet wyobraźnia poczyna pracować, zaczem przedstawia sobie, jak taki Akropol wyglądał za czasów Peryklesa, gdy wszystko stało na miejscu gdy istniały świątynie, po których już niema śladu, a między niemi las posągów; gdy Parthenon nie był obdarty ze wszystkich swych ozdób; gdy z dołu można było oglądać w jego frontonach narodziny Ateny, i po drugiej stronie spór jej z Neptunem — a włócznię Ateny Promachos widać było aż z morza. Wyobraźmy sobie zwłaszcza taką procesyę Panathenów, kapłanów, archontów, bojowników, lutnistów, lud, byki o złoconych rogach, prowadzone przed ołtarze opistodomu, i wieńce kwiatów i te draperye klasyczne, układające się posągowo. Ale prawie wolę jeszcze przedstawić sobie w myśli noc i jasno zielone światło księżyca na marmurach. Aż trudno uwierzyć, żeby ludzie mogli stworzyć taką górę arcydzieł, a jednak można to sobie wytłumaczyć. Mitologia grecka była czcią sił przyrody, czyli elementarnym panteizmem. Ale w duszy Greka artysta przeważał zawsze nad filozofem, więc naprzód poeci ubrali zjawiska w ciała i uczucia ludzkie, później przyszła sztuka plastyczna i ztąd narodziła się taka cudowna baśń kamienna.

Atena umiała też sobie wybrać miejsce na stolicę, bo cóż to za tło dla tych świątyń i posągów! Z jednej strony widać morze, które w tem przeźroczem powietrzu wydaje się tuż; z drugiej całą Attykę, jak na dłoni: góry Hymetu, dalej Pentelikon, na północ Parnes, a ku południo-zachodowi, ku cieśninie salamińskiej, Dafni. Nad wszystkiem niebo ciągle pogodne i orły, których krakanie przerywa do dziś dnia ciszę na Akropolu.

Wrażenia, jakich doznaje się na widok innych ruin, są tylko słabszem odbiciem tych myśli i uczuć, które rodzą się w duszy na widok nabytków akropolskich. Dziełom Mnesiklesa, Iktinosa i Kalikratesa nie wyrównał już nikt, ani przed Peryklesem, ani po nim. Oni stworzyli nietylko Parthenon, Erechteion lub Propylee, ale zarazem ustalili architekturalny dogmat, którego odtąd będą się trzymać wszyscy budowniczowie świata starożytnego. Rzymianie pozwolą sobie dorzucić łuk swój własny, będą wznosić colosea, termy, cyrki, okrągłe świątynie, nakształt panteonu Agryppy, ale oto wszystko. Zresztą pójdą śladem owych nieśmiertelnych poprzedników i od dogmatu nie odstąpią. Mogą tylko przesadzić arcydzieła akropolskie ogromem i czynią też to w samych nawet Atenach.

Poniżej Akropolu, na wschód od urwiska, wznosiła się nad Illisem świątynia Jowisza olimpijskiego, wykończona ostatecznie dopiero za czasów cesarza Hadriana. Dziś, ze stu dwudziestu kolumn, które ją składały, pozostało tylko 16, mianowicie 13 z jednego końca, a 3 z drugiego. Kolumny owe, czysto korynckie, mają po sześć stóp średnicy i po 60 wysokości. Była to największa świątynia na równinie, skrapianej przez Cefizus i Illisus. Titus Livius, mówiąc o niej, powiada, że była jedyną godną rozmiarami wielkości boga, któremu została poświęconą (unum in terris inchoatum pro magnitudine dei). I być może. Zeus, jako ojciec Ateny i najpotężniejszy z bogów, zasługiwał na potężniejszą świątynię, ale Atena, będąc patronką Aten, była zarazem boginią mądrości, więc Zeus mógł mieć tylko zolbrzymione odbicie pierwozorów i pierwokształtów, które wyszły bezpośrednio z myśli przez „sowiooką'' natchnionej.

Nie wypada z tego bynajmniej, abym miał twórców akropolskich świątyń uważać za pierwszych wynalazców greckich porządków. Przeciwnie, rzekłem tylko, że oni ustalili dogmat, bo umieli stać się ostatnim i najwyższym wyrazem architektury greckiej, jak Fidias był swego czasu najwyższym wyrazem rzeźby. Ale przecie świątynia Tezeusza, tak podobna w mniejszych rozmiarach do Parthenonu, stanęła przed Parthenonem, równie jak zapewne i wiele innych, po których zostały jeno gdzieniegdzie osamotnione kolumny. Ów Tezeion jest najlepiej zachowanym zabytkiem przeszłości. Na

Akropolu była forteca, więc gmachy, stojące, narażone były na wszelkie ciosy wojny, a w nowszych czasach na bombardowanie. Tezeion stał w środku miasta. Ulegał on raczej zmianom tylko wewnętrznym, gdy ze świątyni pogańskiej przerabiano go na chrześcijański kościół. Zburzono wówczas kolumny wewnętrzne pronaosu, a natomiast zbudowano półkolistą niszę, w której mieścił się ołtarz; wybito wielką bramę w murze oddzielającym cellę od opistodomu i oczywiście wyrzucono wszelkie posągi ze środka świątyni. Dziś, w środku widać tylko cztery nagie ściany. Światło z trudnością przenika do wnętrza, które zamieniono na rodzaj muzeum, albowiem ustawiono w niem bądź odlewy gipsowe, bądź okruchy rzeźb, zdobiących dawniej świątynię. Jak mówiłem, przypomina ona Parthenon, ale stojąc na płaszczyźnie, nie sprawia tego imponującego wrażenia, zwłaszcza, że i rozmiary jej są daleko mniejsze. Parthenon miał w długości po siedmnaście kolumn, Tezeion ma ich tylko po trzynaście i daleko drobniejszych. Parthenon miał w szerokości ośm kolumn, Tezeion jest hexastylem. Wreszcie był daleko mniej ozdobny, bo Fidias zapełnił oba frontony akropolitańskiej świątyni posągami i wszystkie metopy płaskorzeźbą. Tezeion miał tylko fryz na zewnętrznym murze celli, a metopy tylko na wschodnim boku, pokryte płaskorzeźbą, przedstawiającą czyny Tezeusza, dokonane przy pomocy Heraklesa. Wschodni fronton posiadał także rzeźby, z których się nic nie zostało.

Ale to są szczegóły, które miałyby wartość wówczas tylko, gdybym mógł dodać do nich przynajmniej rysunki tych gmachów. Świątyńka Tezeusza dlatego jest ciekawą, że zachowała się dobrze i że daje nam zatem najdokładniejsze pojęcie o architekturze doryckiej, zarazem tak poważnej i pogodnej. Stoi ona na obszernym placu, na którym nie masz ni drzewa, ni źdźbła trawki, więc jej złotawe ze starości kolumny odbijają się z jakimś melancholijnym wdziękiem na owem szarem tle.

Z placu widać skały Pnyxu. Było to niegdyś miejsce zgromadzeń ludowych. Schody kamienne, powykuwane tu i owdzie w skałach, wskazują, którędy przechodziły gminy, aby się dostać na najwyższy taras, z którego widzi się pod stopami Ateny, po prawej ręce Muzeion, wprost Akropolis. Budowli nie ma tu żadnych, są tylko ślady olbrzymiej trybuny, zwanej w starożytności Bema, na której zasiadał lud podczas obrad. Skały te, całkowicie ogołocone z roślinności, stoją wiecznie pustką: nie spotkałem na nich żywego ducha, gwar miejski tu nie dochodzi, ciszę przerywa tylko czasem krakanie orłów. Mimowoli przychodzi na myśl wiersz Słowackiego:

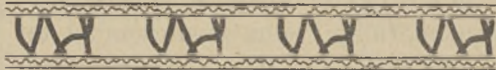
Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo,
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną,
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów, a te puchy
Chodzą i w grobach latają, jak duchy.

Nie tak cicho, ale równie pusto jest na areopagu, leżącym na skłonie akropolskiej góry. Prócz miejscowości uświęconej tradycyą i głębokich szczelin w skałach, zarzuconych śmieciami, nie masz tam nic do widzenia.

W samem mieście i w jego okolicach jest jeszcze nieco zabytków godnych uwagi, jako to: stoa Adriana, stoa Attala, Agora, wieża wiatrów, mała kapliczka Lisikrata, łuk Adriana i pomnik Filopaposa, wreszcie odkryty przed niedawnemi czasy cmentarz Hagia Triada, na którym można widzieć kilka pięknych, nawet bardzo pięknych grobowców. Ale nie usiłuję dać opisu ruin, zdaję tylko sprawę z wrażeń, więc zatrzymałem się głównie na Akropolu, który najsilniej przemawia do duszy, bo streszcza w sobie wszystko, co najpiękniejszego wydała cywilizacya helleńska w zakresie sztuki plastycznej i całą potęgę greckiego gieniuszu. Tucidides zapewne Akropol miał na myśli, mówiąc, że gdyby Ateny klęsce uległy, sądzonoby z ruin pozostałych, że były miastem dwakroć potężniejszem, niżeli są w istocie. Ateny jednak były jeszcze czterykroć razy potężniejsze, niż to przypuszczał Tucidides. Oto dawne miasto klęsce uległo i leży w gruzach, ale geniusz miasta stworzył zbyt wiele, aby ludzkość mogła kiedykolwiek zapomnieć, ile mu winna. Zapominała i tak zbyt długo, ale takie obowiązki narzucają się zarówno pamięci, jak sumieniu. Dzięki tym uczuciom, wydarto ową sławną ziemię Turkom. Nie sam tylko interes polityczny nakazywał wskrzeszenie Grecyi, ale dla Europy był to dług do spłacenia, była to kwestya poprostu wstydu. Są rzeczy, których najbardziej nawet rozluźnione sumienia ścierpieć nie mogą i oto nadeszła chwila, w której zahuczały armaty pod Nowarinem. Ale bądźmy pewni, że gdyby nie owo olbrzymie *credit*, które na rachunek Grecyi zapisała cywilizacya, gdyby nie jej sława i czyny, gdyby nie pieśni Homera, nie wspomnienia Maratonu i Salaminy, nie te ruiny akropolskich arcydzieł, baszowie do tej pory mieliby swoje haremy w Erechteionie, a ze szczytów Akropolis powiewałaby chorągiew proroka. Więc gdy powiem, że Grecyę dzisiejszą odbudowali Homer, Milcyades, Leonidas, Temistokles, Fidias, Perikles i inni bohaterowie lub gieniusze tej miary, nie będzie to figurą retoryczną, ale dziejową prawdą. Pracując dla sławy swego narodu, pracowali, nie wiedząc o tem, dla jego odrodzenia — i tacy nieśmiertelni agenci sprawili, że Grecya żyje.

Koniec.









jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.

Numery okazowe „Pracy“ i „Czytelni“ wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Wiadomości.

— **Piękny portret w kolorach** Ojca św. Piusa X, dołączymy jako premium do „Pracy“ jeszcze w bieżącem ćwierćroczu. Portret będzie wykonany pod każdym względem artystycznie i przewyższy wartość kwartalnej przedpłaty na „Pracę.“ Niech więc korzystają z tej sposobności nowi abonenci jak najwięcej i niechaj zapisują sobie „Pracę“ na miesiące sierpień i wrzesień bezzwłocznie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu. Kwity pocztowe na miesiące sierpień i wrzesień są zamieszczone na osobnej stronie pod opaską. Przedpłata na te dwa miesiące wynosi tylko 84 fen.

— **Na chleb św. Antoniego** nadesłali z Lüssum pod Blumenthalem w Hanowerze pp. Adam Pres z żoną po 1 m., Franciszka Dryjańska 3 m. razem 5 m.

— **Dla biednych Wielkopolan,** dotkniętych klęską powodzi, nadesłało Koło śpiewackie w Dreźnie 12 m. 5 fen., mianowicie 5 m. z kasy Towarzystwa i 7 m. 5 fen z dobrowolnych składek członków Koła. Razem dotąd złożono na ten cel 18 m. 75 f.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Pan dr Stasinski,** okulista przy ulicy Wilhelmowskiej 17, wrócił z podróży z wód i przyjmuje pacyentów w zwykłych godzinach.

— **Ślub.** We wtorek 11-go b. m. odbył się w kościele parafialnym Najsłodszego serca Jezusa w Charlottenburgu ślub pomiędzy panem Józefem Wykrzykowskim z Berlina a panną Władysławą Mulkowską z Charlottenburga. Obrzędu kościelnego dopełnił ks. Leichert ze Skoków, wuj panny młodej. Od ołtarza przemówił w serdecznych i czułych słowach ks. Antoni Siudziński z Poznania, kuzyn pana młodego.

Szczęść Boże młodej parze!

— **Nowe pismo.** Z dniem 1-go października r. b. zacznie wychodzić w Poznaniu fachowy tygodnik p. t. „Przemysłowiec.“ Pisma takiego brak u nas wielki i czas największy, że potrzeba ta będzie zaspokojoną.

— **Portret** Ojca św. Piusa X. Nakładem firmy wydawniczej „W. Doboszyński i S. Botwiński“ we Lwowie wyszedł w tych dniach portret nowo wybranego papieża Piusa X. Jest to reprodukcya heliograwurowa, wykonana nader starannie w pierwszorzędnym zakładzie w Rzymie, według ostatniego zdjęcia fotograficznego. Portret posiada wszelkie cechy artystycznego wykonania i oddaje wiernie ujmujące rysy Namiestnika Chrystusowego. Wydawcy puszczają w obieg trzy wydania, a mianowicie: heliograwurę wielkości 84 × 66 cm. i drugą wielkości 47 × 31 cm. oraz wydanie ludowe (cynkotypię), wielkości 36 × 28 cm., którego celem jest rozpowszechnianie podobizny Ojca św. między ludem i młodzieżą, w stowarzyszeniach i wogóle wśród szerszych warstw społeczeństwa polskiego.

— **Sąd Rzeszy** w Lipsku wydał wyrok ważny dla drukarzy i wydawców gazet, jak niemniej dla publiczności ogłaszającej w gazetach. Według wyroku tego odpowiedzialnym jest wydawca gazety tylko w takim razie za błąd drukarski w ogłoszeniu, jeżeli błąd ten przyczynił się do niezrozumiałości treści ogłoszenia. Jeżeli jednak wątpliwość co do treści nie zachodzi, w takim razie ogłaszający musi pomimo błędu drukarkiego za ogłoszenie zapłacić, ponieważ przyjąć należy, iż takowe nie chybiło swego celu. Również nie jest drukarz odpowiedzialny za błędy powstałe wskutek niewyraźnego rękopisu, gdyż ma on prawo wymagać, aby rękopisy były wyraźnie pisane.

— **Znin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu:

Pp. F. Gramczewska z Żnina 2 m., W. Kończak z Białożewina 1 m., K. Ryński z Borówni 3 m., M. Ertman z Białożewina 4 m., B. Psuja 1 m. 50 fen., Nowak, F. Flak, R. Matuszak po 1 m., Leitgeber, K. Sonsalla, Kujawińska po 50 fen. — wszyscy z Środy, M. Pycha, N. N., A. Powaga po 1 m., E. Kudlińska, W. Jankowska, K. Michalak, I. Włódarczak, B. Dzieszyński po 50 fen. — wszyscy z Kołaczkowa p. Witkowo.

„Bóg zapłać!“ Osoby, które złożą ofiarę, otrzymają na pamiątkę piękny obrazek cudownej Matki Boskiej Żnińskiej i broszurkę z obszernym opisem miasta Żnina.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† Ś. p. *Mieczysław Nowastowski* dnia 10-go b. m. w 17 roku życia w Poznaniu.

† Ś. p. *Barbara z Prądzyńskich Radoj* dnia 9-go b. m. w Szczerbinie. Pogrzeb odbył się w Gromadnie dnia 12-go b. m.

† Ś. p. *Maksymilian Kuiński* dnia 15-go b. m. w Ostrowie, przeżywszy 64 lata.

Ruch w Towarzystwach.

— **Sprawozdanie** *Towarzystwa polsko-katolickiego „Nadzieja“ pod opieką św. Stanisława biskupa w Blumenthalu Hamm.* Towarzystwo liczyło w ciągu pierwszego półrocza to jest od 22-go lutego aż do 9 sierpnia b. r. 44 członków, przystąpiło doń 8, liczyło więc razem 52. Z powodu zmiany pracy i odjazdu do domu opuściło Tow. 16 członków a pozostaje 36 czynnych. Własnością Tow. jest biblioteka, składająca się z 38 książek. Z Czytelni ludowej z Poznania ma Towarzystwo 183 książki; wreszcie posiada Towarzystwo: żywoty św. Pańskich, dwa sztandary, kościelny i narodowy, poczet królów i książąt polskich, zbiorową fotografię członków, szafę dla książek, biurko z przyborami, 2 pieczęcie, 30 oznak i kilka ustaw. Towarzystwo abonuje: „Pracę“ z Poznania, „Wiarusa“ z Bochum i „Górnoślązaka“ z Katowic. Dochodu było w ubiegłem półroczu 244 m. 76 fen., a rozchodu 64 m. 24 fen., pozostaje więc 180 m. 52 fen. Towarzystwo wypłaciło dla dwóch chorych członków wspomóżkę po 5 marek.

Ile możności brało Towarzystwo udział w zabawach sąsiednich Towarzystw, występowało przy pogrzebach ze sztandarem i zakupiło 2 msze św., jedną na intencyą Towarzystwa, a drugą za ś. p. Ojca św. Leona XIII. Do czasu oboru nowego zarządu przewodniczył pan Józef Paryas. Do nowego zarządu wstąpili następujący panowie: Ignacy Nych, przewodniczący, Józef Paryas, zastępca, Leon Tacik, sekretarz, Wincenty Tuszkowski zastępca, Józef Paduch, kasyer, Władysław Jasik, zastępca, Wincenty Schönfeld bibliotekarz, Marcin Łączek zastępca, Józef Chmielewski chorąży, Jan Hoinka, Antoni Marciniak podchorąży, Józef Paryas, Wincenty Tuszkowski rewizorzy kasy.

Ignacy Nych, przewodniczący. Leon Tacik, sekretarz.

Od Redakcyi.

Panu P. M. — 1) Zakład pani Szczerbińskiej w Śremie (Schrimm Pr. Posen). 2) Bazar lub też Hotel Francuzki w Poznaniu.

Panu Kazimierzowi B. w Ostrowie. — Wiersz p. t. „Wieszcz Ukrainy“ jest bardzo słaby, nie ma w nim ani rymu ani rytmu, dlatego zamieścić nie możemy.

Panu W. K. 31. — Zakład lecznicy pp. dr. Zakrzewskiego i Panieńskiego przy ulicy Rycerskiej (patrz ogłoszenie).

Pani G. na prowincyi. — Jeżeli fotografie dobre, to możeby nabył „Kraj“ w Petersburgu lub też „Ilustracya polska“ w Krakowie.

Panu Wacławowi O. w Pleszewie. — Wiersz p. t. „Pożegnanie więźnia“ zamieszczony był w numerze 110-ym „Pracy“ w roku 1897-ym na 8-ej stronie.

Dział kobiecy.



Brak szczęścia w małżeństwie.

Bardzo często zupełnie błahym sprawom daleko więcej poświęcamy czasu i starania, jak przy wyborze towarzysza i towarzyszki życia całego. Że tak bywa, chyba temu nikt nie zaprzeczy. Przyszła żona — to drugie ja, uważana jest tylko często jako nieunikniony dodatek do posagu. Sięgający po jej rękę, pyta przedewszystkiem ile ma?

Mężczyzna, decydując się na małżeństwo, po użyciu swobody w całem znaczeniu tego słowa, najmocniej jest przekonany, że wyświadcza społeczeństwu tak wielkie dobrodziejstwo, za które nigdy dosyć oceniony nie będzie i ani na chwilę nie zatroszczy się, czy ta, którą uszczęśliwia swoim wyborem, jest prawdziwą kobietą i czy może swój i swej przyszłej rodziny los bezpiecznie w jej ręce złożyć.

Jakie myśli, uczucia, pragnienia drzemią na dnie jej duszy?

On często nie wie nawet, czy ona ma duszę wogóle, czy jest tylko lalką, wychowaną wśród sztucznej atmosfery naszych salonów. Dla takiej „lalki-kobiety“ mąż to zmiana stanu, przyzwoite stanowisko w świecie — to owa urojona swoboda, o której marzą niedoświadczone główki młodych panienek.

Przy takich warunkach zawarte małżeństwo staje się w krótkim czasie istnem piekłem na ziemi. I nie może być inaczej, bo pomiędzy tymi ludźmi niema najmniejszej spójni. Jeśli nawet warunki są przyjaźniejsze, ale niema tego głębokiego zrozumienia obowiązków, które zaciągamy i tej myśli przewodniej szczęśliwienia się wzajemnego, opartej na szacunku, serdecznej przyjaźni i prawdziwem uczuciu, to również szczęścia nie będzie, bo po przejściu pierwszych upojeń i uniesień nastąpić musi rozczarowanie.

Wyłaniają się dwie indywidualności, dwa charaktery, które się sobie z ciekawością przypatrują, a ponieważ przy wspólnem pożyciu ujemne strony z początku rzeczy dają się poznać i niema tych ciągłych wzajemnych ustępstw oto i gotowe u nas tak często spotykane niedobrane małżeństwo. On i ona, przeklinając swoje losy, z konieczności tylko ciągną wspólnie szarą nić życia, nie opromienioną jaśniejszym błyskiem.

Mężczyzna po doznanym zawodzie w małżeństwie, nieraz w pracy jakiej zawodowej, odpowiadającej upodobaniom jego i zdolnościom, szuka ukojenia, a zadowolenie wewnętrzne, płynące z przeświadczenia, że się przyczynił do dobra ogólnego, nieraz sowitą mu jest nagrodą.

Z kobietą dzieje się przeciwnie!

Miłość, która jest tylko epizodem życia mężczyzny, stanowi treść życia kobiety. Z chwilą kiedy jej tego uczucia zabraknie, staje ona na rozdrożu z sercem boleśnie rozdartem. Jeśli ma dużo miłości własnej i godności niewieściej, to potrafi stłumić ból i obojętnym w swem życiu czytać nie da. I zawsze z tego moralnego rozbicia coś jeszcze ocali i stworzy sobie jakiś cel wyższy, jaśniejszy. Jeśli ma dziecko, to ono jej ocaleniem, pociechą, jedyną ucieczką, przedmiotem zajęcia tych strasznych godzin samotności. Kobieta, która dziecko ponad siebie ukocha, nigdy nieszczęśliwą nie będzie — bo ma skarb, poza którym wszystko jest nicością.

Lecz czy serce każdej kobiety, która życie tworzy, wypełnione jest tą największą, najświętszą miłością?!

* * *

Zgubą szczęścia małżeńskiego staje się bardzo często „flirt“, tak w naszem społeczeństwie rozpowszechniony i rozgałęziony.

A przyznać trzeba, że nikt go z taką przyjemnością i wyrafinowanym sprytem nie prowadzi, jak kobieta, która, nie doznawszy w życiu najmniejszego zawodu, a tylko goniąc nieustannie za nowością wrażeń, odrywa się od najświętszych obowiązków i w szale światowych rozrywek szuka tych przelotnych chwil ułudy, nie umiejąc sobie pierwej zdobyć szczęścia w rodzinie. Taka kobieta zawsze potrafi uchodzić za niezrozumiałą i nieocenioną istotę, a wtedy bardzo łatwo znajdzie bratnią duszę, która chętnie będzie słuchać jej skarg i utyskiwań, prowadząc zręcznie do moralnej zguby — do tej przepaści, z której dla kobiety niema już wyjścia!

Inne nie zadają sobie tyle trudu, i otwarcie uprawiają sztukę dla sztuki, wkładając w to nieco nerwów — lecz ani odrobiny uczucia.

Zdobycie hołdów bezmyślnych — to treść ich życia!

I z taką zręcznością potrafią otoczyć się całą siecią zdrady i kłamstw, że w błąd wprowadzają najbardziej bacznych spostrzegaczy. Taka kobieta, spowita w jedwab i koronki, rozkoszując się miłosnym szeptem mężczyzny, może za chwilę swobodnie mówić o swoich pociechach, o mężu, którego kocha, bardzo kocha!...

Jedynym ratunkiem jest jeszcze, jeśli mąż baczny w czas spostrzeże grożące niebezpieczeństwo i ocali żonę od moralnej zguby i z gmachu walącego się szczęścia, chociaż pozory uratuje. Lecz niestety, to się nader rzadko zdarza, gdyż on jest zwykle tym ostatnim, który się prawdy dowiaduje i zamiast politowania śmiech i żarty tylko budzi. Pozostaje mu jedno jedyne prawo odwetu: nastawienie swej niewinnej piersi, oddanie życia, które może było całym szeregiem wielkich szlachetnych czynów.

Brak szczęścia w małżeństwie nie jest jeszcze dowodem, by szczęście było tylko złudzeniem i nie wchodziło nigdy w skład życia ludzkiego, lecz ten tylko je osiąga, kto go prawdziwie szuka...

Dzięki Bogu, wśród tych huraganów i przewrotów, które naszem społeczeństwem miotają, są jeszcze małżeństwa, gdzie jedność i zgoda panują. Kobieta czuje, że jest mężowi do szczęścia niezbędnie potrzebna, że nie tylko łączy ich przysięga i obrączka, lecz, że jego dusza, uczucia, myśli, prace do niej niepodzielnie należą. A on, wziąwszy jej serce, jej wolę, czuje, że z całem poświęceniem, z całem oddaniem wiecznie stać ona będzie na posterunku, świadomie przyjętych obowiązków i cześć jego imienia nieskalaną zachowa, bo jest mu przyjacielem i żoną. *T. P.*

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Domy ludowe.

Ocknęliśmy się z długoletniego uśpienia, w jakie nas nieszczęścia kraju pogrążyły. Ostatni dziesiątek lat znamionuje się wybitnym ruchem i pracą nad odrodzeniem narodowem. Cały naród zrywa się do czynu: w najzapadlejszych kątach powstają kółka oświatowe, rolnicze, przemysłowe — każdy wedle sił i możności przyczynia się do podniesienia ogólnego poziomu kultury w kraju.

Lud wiejski również zaczyna brać udział we wspólnej pracy. Szkoły średnie i wyższe pełne są włościańskiej młodzieży: mimo trudności nieraz, zdawałoby się, nieprzezwyciężonych zdobywa sobie lud nasz oświatę, zbudzona dusza łaknie strawy, każda uroczystość narodowa, każdy ważniejszy wypadek polityczny znajduje oddźwięk w masach ludu naszego; widzimy całe pielgrzymki włościan dążące do Krakowa nieraz z bardzo odległych stron kraju, by poznać drogie pamiątki i bodaj raz w życiu orzeźwić się ożywczem źródłem ducha narodowego.

Wśród tego wzmożonego ruchu, wśród tych objawów budzącej się duszy ludu naszego powstaje nagła potrzeba stworzenia dla tego ludu ognisk, w którychby duchowa strona jego życia znaleźć mogła zaspokojenie. Wycieczka do Krakowa raz w życiu albo na lat kilka, a chociażby nawet i co roku, to stanowczo za mało. Zresztą nie wszyscy na taką kosztowną przyjemność pozwolić sobie mogą. Zważmy natomiast, że lud nasz u siebie oprócz karczmy nie ma innego ogniska, gdzieby w dnie świąteczne lub długie wieczory zimowe mógł się gromadzić na wspólną gawędkę, naradę lub rozrywkę. Wiele lepszych, inteligentniejszych jednostek, których dusza odczuwa pustkę i niepokoi umysł, kończy mniej lub więcej groźnem rozpiciem się po karczmach, gdyż szukają one w trunkach stłumienia i przygłuszenia tej duszy swojej dopominającej się o odpowiednią strawę.

To też każda gmina, każda wieś polska powinna posiadać własny „dom ludowy“ jako ognisko życia umysłowego, duchowego oraz jako miejsce dla godziwej rozrywki. Zgromadzenia, narady tańce, ćwiczenia i zabawy, odczyty, pogadanki, orkiestra, chór, teatr amatorski wreszcie, wszystko to powinno się znaleść w domu ludowym.

Utyskujemy częstokroć na niski poziom moralny ludu — a nie pomyśleliśmy dotychczas o zaspokojeniu duchowych potrzeb ludu tego. Kto czerpie wyłącznie z alkoholu, karczmy, ten do idealnych poglądów na życie wznieść się nie potrafi. Stwórzmy ogniska duchowego życia — a poziom etyczny ludu wzniesie się bez wątpienia. Pokryjmy siecią domów ludowych kraj cały, rozpocznijmy walkę z ciemnotą, alkoholem i idącą w ślad za tem nędzą — a nie będzie powodu do rozpaczliwych utyskiwań, że dzień „wyzwolenia“ jeszcze daleko.

To też Towarzystwo budowy domów ludowych ma właśnie na celu rozpoczęcie akcyi budowania domów takich po miastach wsiach i miasteczkach.

Najpierwszym takim domem ludowym, który zbudować pragniemy będzie dom ludowy w Krakowie. Dom taki oprócz sali na zebrania, odczyty, koncerta, biblioteki, czytelnie itp. musi mieścić w sobie wielką gospodę czyli tani hotel dla przyjeżdżających z różnych stron kraju pielgrzymów. Powinna znaleść w nich pomieszczenie tania bursa dla synów włościańskich do szkół średnich uczęszczających. Musi dalej dom taki mieścić w sobie kąpiele ludowe, herbaciarnię wraz z tanią kuchnią, oraz rodzaj bazaru i wystaw dla pośrednictwa zbytu wyrobów włościańskich. Musi się w nim znajdować biuro pośrednictwa pracy, stowarzyszenie opieki nad dziewczętami udającemi się do miasta za zarobkiem, by ich ustrzedz od grożącego częstokroć zepsucia i upadku, wreszcie sumienna pomoc prawna.

Dom ludowy w Krakowie, jest już dzisiaj naglą potrzebą.

Wzywamy tedy wszystkich rozumiejących i odczuwających potrzebę pracy w powyższym kierunku, by zapisywali się w poczet członków mającego się zawiązać Towarzystwa budowy domów ludowych.

Wzywamy w pierwszym rzędzie braci włościan, by się na samopomoc zdobyli: nakazuje im to dobrze zrozumiany interes własny. Nadeszła już chwila poczucia wśród ludu jego wewnętrznej wartości: jesteśmy narodem, a więc jako świadome swych obywatelskich zadań jednostki do pracy nad kulturalnem podniesieniem siebie, samych jako narodu tego podstawowej części powinniśmy chętnej przyłożyć ręki! Niech tak powie każdy włościanin, niech się każdy na członka Towarzystwa budowy domów ludowych zapisze, a o przyszłość domów takich będziemy spokojni.

A i pozostały ogół społeczeństwa również pospieszyć tutaj z pomocą powinien! Długo nie myśleliśmy o potrzebach ludu naszego! Zawiniliśmy ciężko, dopuściwszy do tego, by na początku XX. wieku najliczniejsza warstwa narodu naszego żyła pod względem potrzeb życiowych w warunkach pierwotne czasy przypominających! Z gorączkowym pośpiechem powinniśmy do naprawy złego się porywać.

Niech nas w tem przypomnieniu obowiązku na nas ciążącego wyręczy pieśniarka nasza Marya Konopnicka:

Gdzie my od Was odbiegli? gdzieście wy zostali,
Czemu nie razem w górę poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj wielcy? a wy czemu mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?
O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my was szukamy
Bośmy może winniejsi... ach! i bardziej smutni!

Gdy w myśl słów powyższych z miłością wzajemną porwiemy się wszyscy do czynu, szybko i dobrze zbudujemy wielkie dzieło.

Do czynu zatem!

W imieniu tymczasowego Komitetu budowy domów ludowych:

Tu następują 53 podpisy pp. komitetowych.

Wkładka członka wynosi 2 Korony rocznie. Zapisywać się można u pp. komitetowych, oraz 1) w biurze Towarzystwa „Szkoły ludowej,“ Studencka 5; 2) w „Czytelni dla kobiet,“ Floryańska 32; 3) w Redakcyi „Przodownicy,“ Szpitalna 7.



Dodatek Humorystyczny.

Pieśń dziadowska
o tem jako się czasy zmieniły,
czyli
co dawniej bywało, a co teraz jest.

Posłuchajta ludkowie:
Ku morałów budowie
Dziad wam dziwy opowie.

Niech mi nożem nos utnie,
Czas się zmienił okrutnie:
Czart się cieszy — a lud nie...

Dawniej były kawiarnie:
Gość se kawy wygarnie,
Ciasta podje nie marnie.

Tera „Kafe“ som w modzie:
Różne siedzom w nich lodzie...
Poznasz taką po chodzie!

W handlu ład też był ongi:
Bierał bankrut w kark drągi
Za capnięte szelągi.

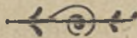
W teraźniejszym zaś czasie
Da wytarty grosz „masie“,
Sam się cudzem upasie...

Dawniej młodzik ze szkoły
Brnie w nauczne mozoły,
„Dwójkę“ ma — to wesoły!

Tera takie ci bobo
Chadza z damską osobą...
Och, ty zgorszenia dobo!

Gadałbym wam do rana:
Wielga czasów odmiana
Bez złe losy nam dana.

Kiej zgorsenie nie puści,
Oj, djabły będą tłuści...
Koniec świata i juści!....



Z klasowego dziennika.

W trakcie tego, gdy nauczyciel wykładał o sądnym dniu i o zmartwychwstaniu, uczeń Pawłowski śmiał się. Natychmiast go więc nauczyciel zapisuje do dziennika kar: „Pawłowski śmiał się cynicznie podczas zmartwychwstania.“



Sumienność.

Gość: Kelner, tu w tem maśle leży włos, co to jest?

Kelner: Jest to włos krowi. Wkładamy go zawsze do masła, aby goście nie myśleli, że podano im margarynę.



Zuchwałość.

Pani (do żebraka): Zbyt często przychodzicie, nie mogę wam co dzień dawać.

Żebrak: Najlepiej niech się pani zaabonuje u mnie. Da pani za kartkę abonamentową 20 marek, to przez cały rok dam pani spokój.



Urywek z niewydanego dramatu.
Akt XVIII, scena XXVII.

Edward (chwytając się za głowę).
O Kunegundo! wrzeszczę w niebogłosy,
Patrz niewzruszona! tu przed tobą klękam,
Rwę całą garścią jasne moje włosy;
Z miłości trzeszczę, łamię się i pękam...
O pozwól! pozwól rączki twe całować.

Kunegunda (blednąc ze wzruszenia).
Jeśli masz pęknąć.... każ się odrutować.



Tu... żebrać nie wolno!!

Stała w oknie uchylonem...
Drogą chłopak młody,
Idąc rzucił okiem w cudne
Dziewczęcia jagody!

By pójść dalej, nie poznawszy
Zbyt silną pokusa....
Więc spojrzeniem trwożnem żebrał
U niej... o całusa!

Dziewczę prośbę zrozumiało,
Bo z minką swywolną,
Wskazało mu na tablicę:
„.... Tu... żebrać nie wolno!!“



W zoologicznym ogrodzie.

Mały Staś (na widok stada osiełków): Mamo, powiedz, proszę, który z nich jest ojcem?

Matka: Czyż nie wiesz, Stasiu, że ojcem jest zawsze największy osieł.



W szkole.

Nauczyciel: Powiedz mi, w jaki sposób powstaje rosa.

Uczeń: Ziemia, panie psorze, obraca się dokoła swej osi w przeciągu 24 godzin, wskutek tego więc pospiesznego ruchu poci się.



Nowożytna rodzina.

Pacyent (do lokaja lekarza): O której godzinie przyjmuje pan doktór?

Lokaj: Starszy pan doktór przyjmuje od 8 -9, pani przyjmuje od 9—10, młody pan doktór od 10-11, a panienka ordynuje od 11—12.



Monolog Magdy.

Z: dyć to człowiek nikaj spokojności nimo. We wsi parobków odegnoć nie mozno, a wedle chałupy prosiaki ciągiem za mną ganiają.



Wędrówka kłamstwa.

Szło kłamstwo w świat i śmiało
Dążyło do swej mety:
Z obawy nikt oporu
Nie stawiał mu, niestety.

Więc z podniesionem czołem,
Z zuchwałą w oczach butą,
Zbierało po swej drodze,
Daninę zewsząd sutą.

Chciała je prawda schwycić,
Lecz była zbyt daleką:
Nim przyszła, było kłamstwo
Za siódmą górą, rzeką.

Daremne więc pościgi,
Sił zresztą niezbyt wielu;
Świat cały przeszło kłamstwo,
Dostało się do celu.

Tu prawda go nie dogna,
Choć szuka go po świecie;
Bo mosty po za sobą,
Spaliło kłamstwo przecie.

Aż raz rozzuchwalone,
Powrócić kłamstwo chciało;
Spoczywać na swej mecie,
To było mu za mało.

Ba, wrócić, lecz którędy?
W jaką się udać stronę?
Za kłamstwem wszystkie mosty
Do szczętu popalone.

Nie spalił ich wróg żaden,
To właśnie kłamstwa dzieło:
Rzuciło się wpław kłamstwo
I — zaraz utonęło.

Tak złe z swych łupów niecnych
Samo się ogałaca...
Przez świat przejść może kłamstwo,
Lecz wrócić — próżna praca!



Dział powieściowy.



(Przedruk wzbroniony).

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

(Ciąg dalszy.)

— Znacie go pewnie wszyscy! Przypatrzcie mu się dokładnie!

Bilewski, książę Adam, a nawet i Walenty, zbliżyli się do mielnika i spojrzeli na siną twarz leżącego szpiega zdrajcy.

— Bondi! — wykrzyknęli równocześnie. — Bondi, zbir, morderca!

— Tak, to on, — zawołała Fedora z błyszczącemi oczami. — To wyrzutek społeczeństwa! Ja przyniosłam go tu do tego młyna, aby się zemścić na nim i zabić go! O, ja mam długi rachunek z nim do załatwienia — za siebie i za innych! Udało mi się przypadkiem dostać go w moje ręce — gdyby nie wy, byłby on już martwym. Ale teraz nie już nie stoi mi na przeszkodzie w wypełnieniu mego zamiaru — śmierć, jaką mu obmyśliłam, jest dobrą dla rosyjskich szpiegów!

W chwili jednak, w której wyciągała rękę, aby wyciągnąć klin, zerwał się Bilewski i stanął przed nią.

— Co pani robisz, — zawołał, — chcesz temu zdrajcy wyświadczyć dobrodziejstwo? Ta śmierć byłaby za prędka. Bo w chwili, w której kamień spada na niego, już on być przestaje. Nie, tak prędko umierają tylko ludzie sprawiedliwi! Ja miałbym coś innego dla niego — może zgodzicie się na to!

Potem wyszli mężczyźni do dawniejszej izby młynarza, rozniecili z kilku desek ogień na kominie i znalazłszy w skrzyni trochę starej odzieży, przebrali się w suknie młynarza. Swoje rzeczy zaś rozwiesili dla ususzenia ich.

Gdy wszystko to było ukończone, zawołał Bilewski Fedorę i rzekł:

— Książę Adam zna mnie oddawna i wie, że nie jestem okrutnym. Wrogów umiem bić, ale nie umiałbym najmniejszemu stworzeniu wyrządzić krzywdy. Nie spłoszyłbym wróbla z jego gniazdka. Że jednak przypadek dał nam zdrajcę Bondi w ręce, z którego winy tyle braci naszych padło ofiarą, przeto jestem tego zdania, że należy nam się krwawa zemsta na tym nikczemniku!

— Tak, tak, — zawołała Fedora i książę Adam, — to mu się słusznie należy!

— Należy mu się śmierć, ale nie my go zabijemy! Nie możemy plamić rąk naszych krwią szpiega i zdrajcy!

— Masz słuszność hrabio, nie myślałam o tem wcale, — przyznała Fedora.

Słuchajcie więc, jaki ułożyłem plan! Dowiedziałem się, że Henryk Orszański ma jutro już być traconym!

— Boże Wielki! — krzyknęła Fedora.

— Znasz go pani?

— Znam! Dalej, opowiadaj pan dalej!

— Naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, co w naszych siłach, aby temu zapobiedz. Wiem, że to prawie niemożliwe, ale chociażbyśmy mieli umrzeć, to nie możemy się wahać, ratować przyjaciela! Do cytadeli, w której go uwięziono, wejść nie możemy, dopóki więc on tam się znajduje, jest wszelka pomoc niemożliwą. Ale jutro o szóstej rano zaprowadzą go na rusztowanie, i chwila, w której cytadelę opuszcza jest też chwilą, w której rozpoczynamy nasze dzieło!

— O tak, — zawołał książę Adam, — powiedz tylko hrabio, co każesz nam robić? Czy rzucić się na żołnierzy i wydrzeć im przemocą Orszańskiego, czy zastrzelić kata.

— Ani jedno, ani drugie, — uśmiechnął się Bilewski, — bo tego nikt w świecie wykonać by nie mógł!

— Czemu?

— Gdybyśmy się chcieli rzucić na żołnierzy, prowadzących Orszańskiego na rusztowanie, to byłoby z nami licho, bo Kozacy w pień by nas wycięli, zastrzelić zaś kata —cóżbyś na tem zyskał, czy myślisz, że Moskale jednego tylko mają? Nie, ja mam zupełnie inny plan! Kat, który ma jutro ściąć Orszańskiego, nazywa się Iwan Ronow. Jest to Rosyanin, ale jego żona jest Polką. Znam ją bardzo dobrze! Była ona przed kilku laty garderobianą mojej żony, i dzielną, uczciwą, pracowitą dziewczyną, na którą zawsze i wszędzie można było liczyć! Była przytem bardzo piękną i cnotliwą. Lubiliśmy wszyscy Elżbietę, takie jej było imię. Przedewszystkiem umieliśmy cenić jej rzetelność, moja żona twierdziła zawsze, że nigdy nie miała takiej pod tym względem służącej!

Na wspomnienie żony, stanęły łzy w oczach Bilewskiego.

— Wybaczcie, moi drodzy, — szepnął, — na myśl jednak, że nigdy już nie ujrzę ani żony, ani córki, ani wnuczki, krwawi mi się serce i łzy cisną do oczu! Nieszczęśliwe są w drodze na Sybir.....

Po chwili uspokoił się i mówił dalej:

— Ale nie o nas tu mowa, tylko o pięknej Elżbietce! Moja żona więc miała w rzetelności jej nieograniczone zaufanie. To też trudno opisać jej przerażenie, gdy pewnego dnia spostrzegła, że z szkatułki skradziono kosztowną broszkę brylantową. Tylko Elżbietka, będąca samą w pokoju, mogła ją wziąść! Moja żona przyszła do mnie zapłakana, nie ze smutku o broszkę, tylko ze smutku nad upadkiem Elżbietki. Żal jej było niezmiernie, że ta uczciwa dotąd dziewczyna stała się nagle złodziejką! Mnie to także bardzo było nieprzyjemnem, bo jakże tu stanąć przed Elżbietką, którą zawsze lubiłem i powiedzieć jej, że jest złodziejką, że okradła swoją panią! A cóż dopiero, jeżeli jednak była niewinną i ktoś inny ukradł broszkę? W końcu przecież postanowiłem tę rzecz zbadać i kazałem zawołać Elżbietki. Zaledwie weszła do pokoju, zaledwie spojrzałem na nią — wiedziałem, że ona kradzież tę popełniła. Biedna dziewczyna rzuciła się też zaraz na kolana i wyznała wszystko.

— Czemuś to uczyniła? — zapytałem łagodnie.

— Ach, panie hrabio, — zawołała, — jestem złodziejką, kopnij mnie pan hrabia, wybij mnie, ale nie powiem nigdy, dlaczego ukradłam broszkę!

— I co z nią zrobiłaś?

— Sprzedałam ją żydowi!

Było to rzeczywiście bardzo dziwne!

— Zużyłaś te pieniądze dla siebie? — zapytałem znowu.

— Niech mnie pan hrabia zabije — ale tego nie powiem.

— Może ukradłaś dla kogoś innego?

— Nie wiem!

— Oddam cię w ręce policyi, — rzekłem, — a tam przyznasz się już, kto miał korzyść z twej kradzieży!

— Chociażby mnie powieszono — o nie powiem dla kogo i czemu wzięłam tę broszkę!

Kazałem jej odejść i zacząłem sobie tę rzecz rozważać. Elżbietka nie mogła popełnić tej kradzieży dla siebie. I w końcu przyszedłem do tego przekonania, że ją ktoś do tego namówił, może narzeczony albo jaka przyjaciółka, i że biedna uległa złym podszeptom. Rozmówiwszy się z żoną, postanowiliśmy jej to wybaczyć i zatrzymać nadal w służbie. Gdy jej to oznajmiłem, upadła mi do nóg i zawołała z płaczem:

— Ja tego państwa nigdy nie zapomnę! O, pan hrabia nie wie nawet, jakie mi dobrodziejstwo wyświadcza!

I tak została Elżbieta u nas, i w przeciągu następnego półrocza była znów tak wierną, uczciwą i rzetelną, jak dawniej. — Na lato przenieśliśmy się na wieś — wówczas żył jeszcze mój zięć, hrabia Rolski...

Fedora zadrżała, usłyszawszy to nazwisko.

— Co to, drżysz pani?

— O nie, nie, mów pan dalej!

— Mój zięć był jednym z pierwszych, których Wielki Książę rozstrzelać kazał... Pewnego dnia przyszedł on do mnie i rzekł:

— Wybacz kochany ojcze, że zwracam się z tem do ciebie, ale pomiędzy twoją służbą musi być jakiś złodziej. Od kilku dni uważam, że z mego pugilaresu, leżącego na biurku, bierze ktoś codziennie kilkanaście rubli. Dziś nawet braknie trzysta rubli!

Pierwszą moją myślą była naturalnie Elżbietka! Zadzwoniłem zaraz i kazałem jej zawołać. Weszła, płacząc głośno — był to najlepszy dowód jej winy.

— Pójdź tu, — zawołałem, — i wyznaj prawdę!

— Ja — wzięłam te pieniądze! — krzyknęła, ukrywając twarz w rękach. — Jestem nędzną złodziejką!

— Więc oddaj przynajmniej to, coś ukradła!

— Nie mogę!

— Gdzie są te pieniądze?

— O, daleko, daleko!

— Komu je dałaś?

— Nie wiem!

— Nie kłam, tym razem nie ujdzie ci to bezkarnie. Ktoś namawia cię do tych kradzieży i to jest właściwy winowajca, ty jesteś tylko narzędziem jego!

Biedna dziewczyna drżała jak we febrze, tak, że ledwie się na nogach utrzymać mogła, ale widziałem, że byłaby się dała raczej zabić, niż wymówić nazwisko tego, który ją do kradzieży nakłonił. Tym razem nie mogłem jej zatrzymać, nie oddałem jej przecież policyi. Musiała dom nasz opuścić natychmiast, lecz my do nikogo nie mówiliśmy o tem. Potem znikła nam z oczu i myślałem, że opuściła zupełnie Warszawę, gdy jednego dnia, zupełnie niespodziewanie, spotkałem ją znowu. Żona moja zachorowała bardzo niebezpiecznie, tak, że lekarze wszelką stracili nadzieję utrzymania jej przy życiu. Zapisywali najrozmaitsze lekarstwa, ale pomagały one tak mało, że chora wcale ich już nie brała, wiedząc, że nic jej to nie pomoże. Ja byłem w rozpaczy — uwielbiałem moją żonę i straszne znosiłem męki, patrząc na jej cierpienia. Raz chodząc smutny po ogrodzie, spotkałem naszego starego ogrodowego. Przywitałem uprzejmie wiernego sługę i powiedziałem mu, że dla mojej żony ratunku już nie ma.

— Jaśnie panie, — odrzekł mi na to ogrodowy, — ja wiem o tem i myślę, że doktorzy nic tu nie pomogą, ale gdyby jaśnie pan chciał posłuchać mojej rady, to wszystko byłoby dobrze.

— Jakże wy mi możecie pomódz, jeżeli tyle lekarzy jest bezradnych!

— Jaśnie panie, mam 78 lat i byłem dawniej owczarzem u nieboszczyka starego pana hrabiego. A my owczarze znamy się też na chorobach, na ziółkach, i wiemy, czem kogo leczyć.

— Więc co mi radzicie? — zapytałem z mimowolnem zajęciem.

— Jaśnie panie, ja wiem, że tylko jeden jest na to środek. Ale ani ja, ani żaden doktor dać go nie możemy, to tylko jeden człowiek w mieście dać może, a ja nie wiem, czy jaśnie pan pójdzie do niego!

— Do kogóż mam iść? Kto może uleczyć moją żonę? Powiedźcie mi, a będę wam przez całe życie wdzięcznym za to! — zawołałem niecierpliwie.

Ogrodowy obejrzał się na wszystkie strony, jak gdyby się chciał przekonać, czy nikt nas nie podsłuchuje i potem szepnął mi tajemniczo:

— Jaśnie pani może pomódz tylko kat warszawski!

— Czyście oszaleli? — krzyknąłem przerażony. — Zkąd kat może mieć lekarstwa nieznane lekarzom?

— To też nie żadne lekarstwo! Niech jaśnie pan idzie do niego i prosi go o kilka włosów z głowy tego, któremu potem ma ją ściąć! Te włosy, zaszyte w woreczku musi jaśnie pani nosić przez kilka dni na sercu, i dałbym się powiesić, gdyby to nie pomogło!

Roześmiałem się i podziękowałem staremu za dobrą radę, ale nie miałem bynajmniej zamiaru odwiedzenia kata i proszenia go o włosy jakiego skazańca. Tak dalece przesądnym nie byłem. Następnej nocy jednak cierpiała moja żona tak okropnie, że sam nawet życzyłem jej śmierci. Nad ranem uśmierzyły się nieco jej bóle, usnęła trochę i dzień przeszedł także dosyć spokojnie. Ale nad wieczorem, gdy znów boleści wzmagać się zaczęły i gdy widziałem, że noc dzisiejsza będzie taką samą lub gorszą jeszcze od poprzedniej, wtedy postanowiłem chwycić się ostatniego środka i — iść do kata. Nie było co do stracenia, lekarze opuścili ją zupełnie, może więc rada starego ogrodowego okaże się skuteczną! I nie namyślając się dłużej, na wpół przytomny z rozpaczy, zarzuciłem płaszcz, zakryłem czapką twarz, jak tylko mogłem, i poszedłem na przedmieście, tam, gdzie samotny stał mały domek kata! — Było to koło łąki Krasińskich, niedaleko od miejsca tracenia! Jestem i byłem zawsze dosyć odważnym, nie lękałem się niczego, ale przyznać muszę, że dziwne opanowało mnie uczucie gdy przestępowałem próg tego domu. Wiem, że kat też jest człowiekiem, takim jak ja, ale to zawsze kat — ręce jego broczą się krwią tylu ludzi, winnych i niewinnych — w naszych czasach — więcej niewinnych! Pomimo wstrętu, jaki mnie ogarniał, nie chciałem się już cofnąć, wszakże chodziło o życie mej żony! Zapukałem więc do drzwi, musiałem przez chwilę czekać, i któż opisze moje zdumienie, gdy nagle ujrzałem Elżbietkę!

Tak to była ona, owa dziwna złodziejka, której przez litość nie oddałem w ręce policyi! Ale jeżeli dawniej była ładną, to teraz można ją było nazwać piękną w całem znaczeniu tego słowa. Gdy mnie poznała, zbladła śmiertelnie, myślała może, że przyszedłem tu jeszcze z powodu ukradzionych pieniędzy.

— Cóż to Elżbietko, — zawołałem, — ty jesteś żoną kata?

Biedna zmieszała się niezmiernie, spuściła oczy i milczała. I jak dawniej nie byłaby za nic w świecie powiedziała, kto ją do kradzieży namawiał, tak poznałem teraz, że nie powie mi, dlaczego została żoną tak osławionego człowieka, jakim był kat Iwan!

— Czy jaśnie pan życzy sobie czego? — zapytała po chwili nieśmiało.

— Tak, — odrzekłem, — kilka włosów z głowy skazanego na śmierć! Moja żona umiera, i to ma jej pomódz!

— O panie hrabio, uczynimy wszystko, co w naszej mocy! — zawołała uszczęśliwiona. — Ale jakże mi żal, że pani hrabina taka chora. Ona była zawsze tak dobra dla mnie

I łzy stanęły jej w oczach. A były to łzy prawdziwe, nieudane. Złodziejka żona kata, była jednak szczerze przywiązaną do mej żony i do mnie — przyznam jednak otwarcie, że nie rozumiałem tego. Ale teraz przyszedł jej mąż, i postępowanie Elżbietki stało się dla mnie jeszcze więcej zagadkowem. Bo podobnie odrażającego człowieka nigdy jeszcze nie widziałem! Średniego wzrostu, miał prawe ramię tak wysokie, jak gdyby mu garb na niem wyrosnął — twarz oszpecona ospą, oczy małe, jasne, wypukłe, jak oczy ryby — ah, okropny to obraz! Nie zapomnę go, póki ży-

cia! I podczas kiedy Elżbietka miała skromną, ale czystą suknią, było jego ubranie podarte i brudne. Na mój widok stanął jak wryty, i krwawy rumieniec pokrył jego wstrętną twarz. Zdaje się, że był on strasznie zazdrosny, i że podejrzywał mnie o schadzkę z Elżbietką. Ale ona zbliżyła się do niego i rzekła spokojnie.

— Patrz Iwanie, to hrabia Bilewski, ten sam u którego dawniej służyłam, mój dobrodziej, najlepszy, najszlachetniejszy pan na świecie! Powiadałam ci już dużo o nim — a dziś on przyszedł, aby żądać od ciebie pewnej drobnej przysługi!

— Ah, jaśnie pan hrabia Bilewski! — zawołał kat z odrażającą uniżonością i nie przestawał się kłaniać, — wielki to dla mnie zaszczyt, że jaśnie pan hrabia raczył przestąpić próg mego domu. Elżbietko, przynieś krzesełko!

— Nie, dziękuję, — rzekłem krótko i opowiedziałem mu zaraz cel mego przybycia.

— Więc i pan hrabia, — zawołał śmiejąc się szyderczo, — wierzy w takie zabobony? Nie byłbym tego doprawdy przypuszczał! Ja mam dawać lekarstwa, gdy sztuka doktorska nic już nie pomaga! To dobre! Dniem i nocą chodzą do mnie ludzie po takie cudowne środki. Jeden chce kawałek powrozka, na którym się skazańć powiesza, inny chce włosów — ha, ha, ha! Mógłbym ich dać panu hrabiemu tyle, że wystarczyłyby dla tysiąca ludzi, ale jestem zanadto uczciwym, aby wyzyskiwać łatwowierność pana hrabiego. Bo to głupstwo jest, panie hrabio, wszystko głupstwo!

— Masz obecnie włosy skazanego? — zapytałem szorstko.

Wtedy milcząc, zbliżył się do wielkiej szafy i otworzył ją, a ja zdrętwiałem na widok, jaki mi się przedstawił. Były tam siekiery katowskie, topory, miecze, powrozy, na których ludzi wieszano, trupie głowy, ręce ludzkie w spirytusie i — serca!

— Co to znaczy? — krzyknąłem przerażony.

— O, na tem najwięcej zarabiam, — odrzekł Iwan, — to drogi towar. Serce straconego zachowuje dom, w którym się znajduje, od wszelkiego nieszczęścia, i dlatego ludzie dużo mi za to płacą! Krewni i znajomi chcą też czasem mieć serce tego, którego kochali — mam więc tu wszystkie na pogotowiu. Na każdym słoju stoi imie i nazwisko straconego i dzień jego śmierci. Otóż to jest serce hrabiego Zabrzeskiego, to pana Płockiego, to......

— Dosyć już, dosyć, — przerwałem. Iwan wziął teraz ze szafy małe pudełko i postawił je na stole.

— Tu są włosy, — rzekł, otwierając je.

Były tam pukle czarnych, jasnych, siwych włosów, a dla wszystkich kolorów osobne znajdowały się przedziały. Porządek był wszędzie wzorowy.

— Weźmy jasne, — rzekł, wziął ich tyle, ile się w dwa palce zmieściło, zawinął w papier i podał mi je.

Ja zapłaciłem mu za to pięcioma złotemi monetami. Iwan już wyciągał rękę po nie, gdy Elżbietka schwyciła szybko jego ramię.

— Nie ruszaj tych pieniędzy, — zawołała groźnie, — jeżeli nie chcesz mnie stracić na zawsze! Wszystko, co możesz uczynić dla pana hrabiego jest za mało — przez całe życie winniśmy mu wdzięczność i nigdy mu jej dosyć okazać nie zdołamy!

Widziałem chciwość w oczach Iwana, o, jak chętnie byłby on zgarnął te pieniądze, ale Elżbietka patrzała na niego tak, jak patrzy poskromiciel dzikich zwierząt na lwa i — zwyciężyła go. I na tej to wdzięczności kata i jego żony zbudowałem plan oswobodzenia Orszańskiego! Dziwnie to brzmi, nieprawda, jeżeli wam powiem, że Elżbietka uratuje go! Zważywszy na wpływ, jaki wywiera na męża, mam nadzieję, że zamiar mój powiedzie się! I nietylko to — nietylko, że Orszański ma być ocalony, ale Bondi, ten łotr, ma być w miejsce jego, ściętym. Teraz powiem wam, jak to zrobimy.

Z natężoną uwagą słuchał książę Adam słów swego przyjaciela. Fedora nie spuszczała także oka z niego, i nawet Walenty przysunął się nieco, aby nic nie stracić z tego, o czem teraz hrabia mówić będzie. Wszyscy przeczuwali, że usłyszą coś nadzwyczajnego.

— Mówiłem wam już, — zaczął Bilewski, — że Orszańskiego wyprowadza jutro o szóstej rano z cytadeli, aby go zaprowadzić na miejsce stracenia. Na tej drodze zatrzymuje się raz tylko......

— Gdzie, u kogo? — zawołała Fedora.

— W Warszawie istnieje prastary zwyczaj, że każdy skazany na śmierć wstępuje, idąc na rusztowanie, do domu kata.

— Na długo?

— Nie, na dziesięć minut mniej więcej, ale te kilka minut wystarczą, aby naszego przyjaciela uratować.

— Jakim sposobem? — spytał książę Adam zdziwiony.

— W domu kata wypija skazany ostatni puhar wina, gdy wychodzi z domu, zarzucają mu czarny skórzany kaptur na głowę, tak, że twarz jego cała jest zakryta!

— Ah, zaczynam się domyślać, — szepnęła Fedora, a oczy jej błysnęły radością.

— Mój plan jest więc taki: zaniesiemy tego zdrajcę do domu kata, i jemu to zetnie Iwan głowę, podczas kiedy Henryk Orszański wyjdzie wolny, jak ptak w powietrzu! Pójdę dziś jeszcze do Iwana, teraz natychmiast, rozmówię się z nim i z Elżbietką, i oni zatrzymają go związanego, aż do jutra rana. Gdy o szóstej rano Orszański wejdzie do domu kata, wtedy wypuści go Elżbietka bocznemi drzwiami a Bondi dostanie czarną kapę na głowę i jego to zaprowadzi Iwan na rusztowanie.

— Ale Bondi będzie wołać o pomoc! — zauważył książę Adam.

I cała sprawa wyda się, — odrzuciła Fedora.

— O to nie potrzebujecie się obawiać! Bondi będzie miał usta zakneblowane, ręce związane, więc o wołaniu mowy być nie może. Jak wam się mój plan podoba?

— Bardzo, — zawołał książę Adam. — Oby się tylko wszystko udało!

— To jest zupełnie jasne, że udać się musi, — odrzekła Fedora, a ujmując rękę Bilewskiego, dodała: — jakże jestem wdzięczną panu, że powstrzymałeś mnie od skalania sobie rąk krwią tego łotra!

— Więc dalej, do dzieła, — zachęcał Bilewski, — nie traćmy czasu. Poszukajmy jakiego miecha, otóż tam leży kilka, włóżmy w niego zdrajcę — ja go na plecach zaniosę do domu kata!

— A jeżeli pana kto spotka i pozna, — szepnął książę Adam. —Wszakże tajni agenci księcia chodzą po mieście i na przedmieściach we dnie i w nocy!

— Zapominasz książę, że mam na sobie stare i podarte ubranie młynarza. Czy myślisz, że gdybyś się w twoim stroju ukazał teraz na rynku w Warszawie, poznali by ludzie w tobie sławnego księcia Adama Starzyckiego? Wyglądasz trochę inaczej, jak zwykle! Moje ubranie całe pomączone — bardzo dobrze, jestem młynarzem, który niesie na plecach miech mąki. Najszczerszy przyjaciel nie poznałby mnie w tem przebraniu!

I rzeczywiście, w białem, nieco już brudnem ubraniu młynarza nie wyglądał hrabia Bilewski, jak wytworny arystokrata.

Potem nasypał sobie jeszcze trochę mąki na twarz, tak, że z pod wełnianej czapki młynarskiej widać było tylko dwoje błyszczących oczu, i książę Adam zapewniał go uroczyście, że jest zmieniony do niepoznania. Fedora twierdziła to samo.

Teraz zeszli wszyscy znowu na dół, aby z pomiędzy kamieni wyciągnąć zdrajcę.

Bondi był więcej już umarłym, niż żywym, niezwykle bowiem położenie, w jakiem jego ciało od dwóch blisko godzin się znajdowało, wstrzymało obieg krwi. Twarz jego była sina.

Hrabia Bilewski podniósł go do góry, jak piórko.

— No, panie szpiegu, — rzekł szyderczo, — udasz się teraz w ostatnią twoją podróż. Myślisz może, że ci darujemy życie dlatego, że cię wydobyliśmy z pomiędzy kamieni — o nie! Czasami idą ludzie z deszczu pod rynnę! Ja cię pod taką rynnę zaniosę, zobaczysz!

Walenty przygotował miech, w który z łatwością wsunięto związanego barona, i zamknął go u góry mocnym powrozem.

Potem zarzucił go Bilewski na plecy i zawołał śmiejąc się:

— Idę z mąką na targ, kto ją kupi? Kto kupi nędznego szpiega i zdrajcę? Bądźcie zdrowi, kochany książę, i ty księżniczko!

Po tych słowach wyszedł z młyna. Z początku biegł

łosyć prędko, ale potem zwolnił kroku, i szedł wolno, schylony, jak stary człowiek, który się zgina pod ciężarem.

Właśnie słońce wschodziło!

Hrabia przechodził przez najożywieńsze ulice Warszawy i spotkał nawet kilku znajomych. Ale nikt go nie poznał. —

ROZDZIAŁ XIV.

Pod czarną kapą.

Ostatni poranek dla Henryka!

Nieszczęśliwy więzień stał przy oknie swej celi i patrzał na rzekę, ale jak daleko mógł okiem sięgnąć, nie widział nic, prócz wody i nieba.

Mgły zaczynały ustępować i słońce jasno świeciło — ar ostatni! —

Tej nocy zdjęto zupełnie kajdany z rąk i nóg Henryka i dano mu nawet na kolacyą trochę mięsa i wina. Ksiądz przyszedł do niego wieczorem i odszedł dopiero o czwartej rano, ale Henryk nie zwierzył mu się z niczem — na pierwsze bowiem spojrzenie poznał, że to był szpieg rosyjski w ubraniu duchownego. Takich to sposobów używali Moskale, aby pod pozorem spowiedzi dowiedzieć się tego, czego więźniowie dobrowolnie wyznać nie chcieli.

To też Henryk odetchnął swobodniej, gdy go ów „ksiądz" opuścił, i gdy został sam, zaczął się gorąco modlić. To było jedyną i największą jego pociechą.

Po raz ostatni patrzał na znikające cienie nocy, po raz ostatni cieszył się widokiem zielonych drzew nad brzegiem Wisły, i po raz ostatni widział fale Wisły, w których się odbijało błękitne niebo. Wątpił, czy przyjaciele zdołają go ocalić, wiedział sam przecież, że to prawie niemożliwe.

Ach, jak ciężko umierać w tym młodym wieku, i to jeszcze z ręki kata, nie popełniwszy żadnej zbrodni!

Słońce tak jasno swieci, świat cały się uśmiecha, tyle szczęścia czeka go po za murami więzienia, przyjaciele. narzeczona...

O Boże, Teresa! Jego ukochana Teresa!

— Wnet przyjdą po mnie, — myślał z rozpaczą, — ratunku dla mnie nie ma! Boże, Miej Teresę w Swej Świętej opiece, nie opuszczaj jej nigdy!

I całe jego życie przesunęło mu się przed oczami duszy. Przypomniały mu się lata dziecięce gdy miał jeszcze matkę, potem wiek młodzieńczy przy boku ojca, matkę bowiem bardzo stracił wcześnie. Ojciec, nie młody już człowiek, niezmiernym był dziwakiem. Nie lubił on ludzi, unikał ich, i żył sam w odludnym zamku u podnóża Tatrów, zajmując się wyłącznie naukami. Zamek ten, od dawna zaniedbany, był ulubionem miejscem jego pobytu, zdawało się, że szuka tam zawsze czegoś, czego znaleść nie może, i że łączy go z owemi murami jakieś wspomnienie, którego nie może się pozbyć.

Życie Henryka bardzo tam było jednostajne i nudne. Ojciec trzymał dla niego najlepszych nauczycieli, którzy pilnowali go od rana do wieczora, nie pozwalając na żadne zabawy i rozrywki. Każdy inny chłopiec byłby w takich warunkach stracił wszelką chęć do życia, ale wesołe usposobienie Henryka nie dało się niczem przytłumić. Jeżeli mu się udało kiedy wydobyć z pod jarzma nauczycieli, wtedy biegał po górach, jak młoda giemza, żadne drzewo nie było mu za wysokie, żadna przepaść za głęboką!

Znał całą okolicę zupełnie dokładnie, a jeżeli go czasem zaskoczyła burza w górach, wtedy szukał schronienia albo w jakich starych minach, albo w chacie jakiego górala.

Czasem szedł potajemnie do stajni, osiodłał konia i pędził w góry!

Albo pływał jak ryba w jeziorach tatrzańskich, o których ludzie mówią, że są bezdenne, i że na falach ich tajemnicze igrają chochliki i rusałki, które wędrowców wciągają do wody i topią.

Potem zaczął stary hrabia chorować i umarł, gdy Henryk skończył lat ośmnaście.

Henryk przypominał sobie wszystko bardzo dobrze. Ojciec został ruszony paraliżem i stracił mowę — pomimo to usiłował koniecznie wymówić kilka słów; zdawało się, że męczy go jakaś tajemnica, którejby nie chciał zabierać z sobą do grobu.

I przytem wpatrywał się nieustannie w wielki, olejny obraz matki, wiszący w szerokich złotych ramach naprzeciwko łóżka umierającego. I tak też umarł, nie mając już tyle siły, aby synowi ostatnią wolę powiedzieć lub napisać, a Henryk opłakiwał go rzewnemi łzami, chociaż zmarły nigdy mu za wiele miłości nie okazywał.

Kilka dni po złożeniu ciała do grobowca zbudowanego niedaleko zamku, w cieniu odwiecznych jodeł, przybył notaryusz z Wiednia i oznajmił Henrykowi, że ojciec jego zostawił mu pięć milionów guldenów w gotówce. Była to książęca fortuna!

Henryk uczuł zawrót w głowie. On, który dotąd grosza nie miał w kieszeni, stał się nagle właścicielem milionów! I to go zgubiło!

Nic go już teraz w starym zamku zatrzymać nie mogło. Rozpuścił służbę, i zostawiwszy zamek pod opieką starego leśniczego, przeniósł się do Wiednia.

Tutaj przyjął Walentego. Chciał on mieć służącego, który znal dobrze miasto, a że Walenty służył od kilku lat już w stolicy, przeto znalazł w nim takiego własnie służącego, jakiego pragnął. I przypadkiem bardzo dobry zrobił wybór, Walenty bowiem nadzwyczaj był uczciwym, wiernym i rzetelnym człowiekiem.

Że młody, ośmnastoletni chłopak, mający pięć milionów guldenów, nie żyje w Wiedniu, jak zakonnik, to pewni, żadnej nie ulega wątpliwości. Henryk był niezwykle pięknym, a przytem żywym i wesołym młodzieńcem, nie dziw zatem, że od razu rzucił się w wir przyjemności i zabaw wielkiego miasta. Życie w stolicy zachwycało go, wszystko było mu nowem, piękne Wiedenki zaś wyrywały sobie „polskiego, milionowego hrabiego." Nie trwało długo, a Henryk Orszański był znanym w całem mieście.

Wszędzie, gdzie chodziło o wyrzucanie pieniędzy, tam on na pierwszem stał miejscu. Nikt nie był tak wspaniałomyślnym, hojnym, szczodrym, jak on, ale nikt też nie marnował majątku tak jak on! Kobiety nazywały go „pięknym hrabią polskim," mężczyźni, marnotrawcą."

Nikt nie kupował takich brylantów aktorkom i śpiewaczkom jak Henryk, nikt nie miał takich koni i powozów! Co najgorsze zaś było, że nikt też nie miał tyle, tak zwanych przyjaciół, a raczej pochlebców, którzy go wyzyskiwali jak mogli! Tysiące płynęły do ich kieszeni, Henryk zaś nie zważał na nic i rzucał garściami pieniądze, zapominając, że i najgłębsza studnia wyczerpać się może.

On sam nic sobie z pieniędzy nie robił, dla niego żadnej one wartości nie miały.

Ponieważ Henryk urządził sobie dom po książęcemu, przeto dużo potrzebował służby. Byli tam lokaje, kucharze, był poczciwy Walenty, ale jeden z „przyjaciół" doradził mu, aby przyjął kamerdynera, który służył w wielkich domach, i obiecał mu się zaraz o takiego wystarać. Henryk zgodził się na wszystko.

Kilka dni później zjawił się też nowy kamerdyner, Wolf, człowiek już nie młody, o lekko posiwiałych włosach, pomarszczonej chudej twarzy, i złośliwych oczach. Ale Henryk nie znał się na ludziach. Wolf był uniżony, pokorny, miał maniery wielkiego pana i zdobył sobie od razu całe zaufanie Henryka.

Wolf podniecał ogromnie lekkomyślność młodzieńca i podczas kiedy Walenty prosił go nieraz ze łzami w oczach, aby się upamiętał, naprowadzał go Wolf na coraz to nowe myśli, których wykonanie kosztowało tysiące. Opowiadał mu też, że cały Wiedeń mówi o nim, że ludzie zachwycają się nim, że księżna S. unosiła się nad jego końmi, a księżna P. nad jego pałacem, i tym sposobem pobudzał go do pełnienia szaleństw, z których znajomi potajemnie szydzilli.

Wolf miał jednak we wszystkiem pewien cel.

Kupcy, u których Henryk kupował, byli zobowiązani do płacenia Wolfowi dosyć wysokiego procentu od towarów, jakie brał jego pan. Jeżeli jaki kupiec nie chciał się na to zgodzić, wtedy mógł być pewnym, że Henryk nigdy już u niego kupować nie będzie, że Wolf mu to odradzi.

Jeżeli naprzykład kosztował pierścionek dla jakiej aktorki tysiąc guldenów, to złotnik żądał tysiąc dwieście. Te dwieście stawały się własnością Wolfa, który w ten sposób w bardzo krótkim czasie ułożył sobie wcale ładny kapitał. Setki płynęły do jego kieszeni codziennie prawie.

Oprócz tego korzystał też Wolf z niedbałości, z jaką Henryk zostawiał pugilaresy z banknotami na biurku.

Wiedząc, że Henryk nigdy pieniędzy nie liczy dzielił się z nim rzetelnie każdą sumą, czasem nawet brał trochę więcej, niż połowę.

Tylko pod jednym względem był Henryk Wolfowi nieposłusznym, to jest pod względem dawania jałmużny. Nie było żebraka, któryby od Henryka hojnej nie otrzymał jałmużny, nie było biednego, któryby z domu jego nie wyszedł obdarzony tem, czego pragnął. Litość dla biednych była bezgraniczną w sercu szlachetnego młodzieńca. Daremnie przedstawiał mu Wolf, że wydaje dla tego motłochu za wiele pieniędzy, że to ludzie nie zasługujący na wsparcie, że to darmozjady, złodzieje i oszuści — Henryk we wszystkiem szedł za radą swego kamerdynera, ale pod tym względem był niewzruszonym.

— Nie, — rzekł mu raz — nie mógłbym być spokojnym i swobodnym, wiedząc, że nie dałem potrzebującemu na kawałek chleba. Największą dla mnie przyjemnością jest uszczęśliwiać innych! Dlatego też żądam, aby każdy, kto mojej potrzebuje pomocy, był wpuszczonym do mego pokoju — dla bogatych nie zawsze jestem w domu, dla biednych zawsze — we dnie i w nocy!

Nieszczęśliwi błogosławili go — żaden zaś z tych, którzy go marnotrawcą zwali nie wiedzieli, że znaczna część jego majątku służyła na otarcie łez biednym i na ulżenie chorym.

Henryk miał złote serce, lecz na pochyłej znajdował się drodze.

Że przy takiem szalonem życiu nawet i miliony mogą się skończyć, to zupełnie jest jasnem. Po kilku latach zaczęły się już dawać we znaki pewne trudności pieniężne, ale to zamiast przywieść Henryka do przytomności, jeszcze go więcej popchnęło ku przepaści — z winy Wolfa.

Wolf zawsze wiedział, od kogo pieniędzy pożyczyć, ale procenta były strasznie wysokie. Jeżeli Henryk pożyczył dziesięć tysięcy guldenów, to w przeciągu trzech miesięcy musiał oddać piętnaście.

Nie potrzeba pewnie dodawać, że pożyczającym był zawsze Wolf sam.

Gdy się gotówka wyczerpała, sprzedał Henryk swoje dobra w Polsce, będące od wieków w posiadaniu hrabiów Orszańskich, i nawet przy tej sposobności zarobił Wolf najwięcej.

Potem skończyło się wszystko.

Szczury opuszczają tonący okręt — pewnego dnia oświadczył Wolf Henrykowi, że nowe przyjął miejsce.

— Jakto? — zawołał Henryk zdumiony, — odchodzisz odemnie? A przecież zapewniałeś mnie zawsze, że zostaniesz w moim domu aż do śmierci!

Wolf wzruszył ramionami.

— Jestem już stary, — rzekł, — i chciałbym wypocząć!

— Ale z czego będziesz żył?

— Z moich — oszczędności!

Henryk poznał teraz charakter tego człowieka — domyślił się wszystkiego i kazał mu natychmiast dom swój opuścić.

I teraz nastąpiły dni smutnych doświadczeń.

Wszyscy serdeczni przyjaciele usuwali się od niego. Póki był bogatym, miał ich pełen dom, teraz opuszczał go jeden po drugim. Gdy śpiżarnia pusta, nie ma w niej myszy. Jedni przepraszali piśmiennie, że nie mają czasu go odwiedzać, drudzy milczeli w ogóle, nie uważając to wcale za potrzebne.

Henryk był sam.

Bóg jednak nie opuścił go. — W zamian za wszystkie te serca fałszywe, dał mu jedno, czyste jak kryształ, pełne wiernej miłości, serce ukochanej Teresy.

Takiemi były wspomnienia przeszłości Henryka, gdy oparty o kratę okna w swej celi czekał na kata.

— Otóż i on, — szepnął, usłyszawszy szelest za drzwiami.

Wszelkie nadzieje życia, któremi się w ostatnich dniach pocieszał, znikły. Zdawało mu się, że słyszał śpiew Teresy, ale musiał sobie teraz powiedzieć, że to było złudzenie tylko. Jakiś głos podobny śpiewał tę pieśń. Inaczej bowiem byłaby Teresa usiłowała go ocalić. Starania przyjaciół, którzy przysłali mu ową rybkę, musiały również spełznąć na niczem. Nie przysłano mu żadnego znaku, zgoła nic, coby świadczyło, że ktoś o nim myśli i chce go ratować.

Po raz drugi w życiu od wszystkich opuszczony!

— Jak chętnie bym umierał, — pomyślał, i mimowoli stanęły mu łzy w oczach, — gdybym raz jeszcze tylko mógł ujrzeć moją Teresę ukochaną!

W tejże chwili zaskrzypiał klucz w zamku — drzwi się otworzyły i kat wszedł do celi.

Henryk wyprostował się dumnie i stał na pozór zupełnie spokojny. Za katem widać było kilku kozaków z dobytemi pałaszami, dozórcę i owego „księdza,“ który już był w nocy u niego.

— Chcesz się jeszcze wyspowiadać? — zapytał ksiądz.

— Nie!

Teraz zbliżył się kat do niego i położył mu rękę na ramieniu.



— Przechodzisz teraz w moje ręce, — rzekł kat ochrypłym głosem, — na mocy wyroku śmierci, jaki Wielki książę Konstanty wydał na ciebie.

— *Przechodzisz teraz w moje ręce, — rzekł ochrypłym głosem, — na mocy wyroku śmierci, jaki Wielki książę Konstanty wydał na ciebie.* Siadaj, abym ci włosy mógł ostrzydz. Jest to na twoje dobre, inaczej mogłaby mi siekiera zawisnąć na nich, i musiałbym uderzyć po raz drugi!

Na dowcip ten rozśmieli się kozacy.

— Róbcie ze mną co chcecie, — odpowiedział Henryk, — ja wam oporu stawiać nie będę!

Usiadł więc na ławkę i zaraz potem uczuł zimno stali na szyji. Dziwne to w tej chwili było uczucie!

Henryk zadrżał — był to przedsmak śmierci.

Ale potem uspokoił się znowu. Skończył z życiem — jeszcze godzinę, a Henryk Orszański przestanie istnieć.

Nagle jednak przyszło mu na myśl, że on jest jedynym, który wie, gdzie się znajduje skarb wojenny! Czy miał prawo umierać z tą tajemnicą? Nie — przeciwnie, miał obowiązek o tem donieść swym przyjaciołom! Nie wiedział tylko, jak to zrobić, wszakże nie miał tu nikogo, komu by tę ważną rzecz mógł powierzyć! —

Kat ostrzygł włosy i cofnął się.

— Wstań, idziemy, — rzekł.

— Dobrze, — odpowiedział Henryk, — ale jest mi wolno napisać jeszcze kilka słów — moją ostatnią wolę?

— Tak, — zawołał kat, i posłał natychmiast dozórcę po papier i pióro.

Gdy Henryk otrzymał wszystko, usiadł i zaczął pisać — co — tego sam nie wiedział, chciał tylko od siebie odwrócić uwagę kata. I w chwili w której tenże zaczął rozmawiać z jednym z kozaków, oderwał Henryk szybko kawałek papieru i napisał na nim to, co wówczas czytał w liście nieszczęśliwego Feliksa. Dodał tylko jeszcze to, aby odzyskany skarb wręczyć księciu Adamowi Starzyckiemu.

Wszystko to napisał Henryk po łacinie, nie chcąc, aby ktoś pierwszy lepszy poznał tajemnicę. Tylko wzmiankę o księciu Adamie napisał po polsku.

Potem wsunął złożony papier za podszewkę surduta i rzekł:

— Jestem gotów. Testament mój odeślijcie do Wie-

dnia do mego przyjaciela, którego nazwisko podane u góry.

Wiedział on, że papier ten natychmiast zostanie podarty.

— Życzenie twoje będzie spełnione, — odpowiedział kat. — Idźmy, bo już późno!

Pomocnicy kata skrępowali mu ręce na plecach i wzięli go w środek, oprócz nich czekało na dziedzińcu dwudziestu kozaków na koniach.

Na ulicach, pomimo rychłej pory, mnóstwo się zgromadziło ludzi, a wszyscy patrzyli z litością na tego młodego, pięknego skazańca. Po lewej stronie jego szedł kat, po prawej „ksiądz", na którego Henryk wcale nie patrzał. Usta jego poruszały się w cichej modlitwie, do której dołączało się imie Teresy, po Bogu ona jedyną jego była myślą!

Smutny ten pochód minął już miasto i zbliżał się do łąki Krasińskich, na której środku wznosiło się rusztowanie, pokryte czarnem suknem. Na tem miała za chwilę spadnąć głowa Henryka! —

Nagle jednak zawołał kat głośno:

— Stójcie! Jesteśmy przed moim domem!

Co to miało znaczyć, czemu kat przedłużał jego męczarnie? Henryk nie umiał sobie tego wytłómaczyć, ale w następnej zaraz chwili zwrócił się kat Iwan do niego i rzekł:

— Podług starego warszawskiego zwyczaju wchodzi skazany do domu kata i wypija ostatni puhar wina! Potem wkładamy mu na głowę czarną kapę — skazany nie ma widzieć przygotowań do jego śmierci!

— Co, to wy mi chcecie twarz zasłonić? — zawołał Henryk oburzony. — Nigdy na to nie pozwolę!

— Ale tak być musi! Dalej! Czy ksiądz raczy wejść z nami i wypić szklankę wina? zapytał Iwan.

— Za nic w świecie, — zawołał szpieg.

Iwan ujął rękę Henryka i wprowadził go do swego domu, zamykając drzwi starannie za sobą. Równocześnie wybiegła z kuchni Elżbieta.

— Prędko, prędko, — wołała bez tchu prawie.

— Czy to być musi, — mruknął Iwan niechętnie.

— Tak! Albo uczynisz to co chcę, albo odchodzę na zawsze od ciebie!

Ale jeżeli się to wyda, w takim razie wejdę ja na rusztowanie! — szeptał Iwan drżącym głosem.

— Ah, tchórzu, boisz się! — zawołała, Elżbietka z pogardą zbliżywszy się do Henryka, przecięła nożem jego więzy.

Henrykowi zdawało się, że śni. Rozmowa kata z tą piękną kobietą, uwolnienie go z więzów, co to wszystko miało znaczyć?

— Rozbieraj się pan, — wołała tymczasem Elżbietka, podając mu zawiniątko z rzeczami, — ale spiesz się, na Boga, bo nie mamy ani sekundy do stracenia!

— Ja wychodzę, — rzekł Iwan, — mogę potem śmiało przysięgać, że nic nie widziałem!

Elżbietka wyszła także, nagląc Henryka do pospiechu.

Henryk był tak oszołomiony, że nie wiedział jeszcze o co chodzi. To jedno rozumiał tylko, że ma się przebrać, że będzie może ocalony — spieszył się też więc tak, że w przeciągu kilku minut był zupełnie gotowy. I gdy teraz przypadkiem spojrzał w zwierciadło, wcale się nie poznał — biedny więzień w podartym surducie zamienił się w wytwornego młodzieńca. Tylko twarz blada przypominała mu okropne dni, spędzone w wilgotnych podziemiach cytadeli!

Czyżby teraz, w ostatniej prawie chwili miała nadejść owa gorąco upragniona pomoc jego przyjaciół? Czy to wszystko nie było snem tylko?

Ale cóż to? Ach, to nie sen — tam, Boże, to oni!

— Cicho, cicho — szepnął Bilewski, biorąc go w objęcia.

— Henryku, — zawołał książę Adam, — ile ty wycierpiałeś, biedaku! Jak mi cię żal było!

Henryk patrzał na nich, jak gdyby nie wierzył własnym oczom.

— To wy! wy! — powtarzał. — Wy uratowaliście mnie od śmierci! Nie zapomnieliście o mnie!

— Cicho, cicho, — upominał Bilewski. — Dom otoczony jest Kozakami i setkami ludzi, wszyscy czekają niecierpliwie na ukazanie się skazanego.

— Ale jakim sposobem się to stało? — pytał Henryk.

— Ja nic nie rozumiem! Ktoś przecież musi być straconym, więc jeżeli nie ja?.....

— To ktoś inny, — roześmiał się książę Adam.

— Ale kto?

— Ktoś, kogo znasz, — odrzekł Bilewski. — Zobaczysz go, ale najpierw pozwolimy ci ujrzeć kogoś innego, drogiego twemu sercu! Przygotuj się na wielką radość — na wielkie szczęście.....

— Nie męczcie mnie, — błagał Henryk. — Czyżby ten śpiew jednak nie był złudzeniem? Mam ujrzeć osobę, którą kocham — gdzież ona.....

— Tutaj, Henryku, jestem!

I Teresa leżała w jego objęciach.

Była to chwila największego szczęścia, najwznioślejszej radości. Bilewski i książę Adam czuli się wzruszonymi aż do głębi serca.

Do pokoju weszła teraz Elżbietka, za nią szedł Iwan, wlokąc skrępowanego Bondiego za sobą.

Gdy Bondi ujrzał Teresę w objęciach Henryka, zgrzytnął zębami z bezsilnej wściekłości, a oczy straszną błysnęły nienawiścią.

— Czego chcecie odemnie, — szeptał ledwie zrozumiale, — jakiem prawem trzymacie mnie w tym domu, czemu daliście mi ubranie skazańca? Zaprowadźcie mnie do Wielkiego księcia Konstantego — on nie pozwoli na to, abyście mnie tu męczyli i mordowali!

Książę Adam zbliżył się do niego.

— Poznajesz mnie, morderco? — zapytał. — Szpiegu i zdrajco — jesteś na śmierć skazany i dziś spadnie głowa twoja pod toporem kata!

Dziki śmiech wykrzywił usta barona.

— Skazany na śmierć, — zawołał, — ciekawy jestem, kto wyrok ten wydał! Może wy? Kto wy jesteście? buntowniki, których książę Konstanty powystrzelać każe! A ja będę wolnym, nikt nie ma prawa zabijania mnie!

— Tyś chciał nas zamordować, — rzekł książę Adam, — dlatego musisz być śmiercią ukarany. To jest sprawiedliwie i słusznie. Wszystkim tu obecnym ciężkie wyrządziłeś krzywdy, hrabiemu Orszańskiemu, pannie Krones, hrabiemu Bilewskiemu i mnie — my wszyscy skazujemy cię za to na śmierć.

— Ja także, — dał się słyszeć od progu dźwięczny głos Fedory. Zaraz za nią wszedł Iwan z czarną kapą.

— Czas — trzeba się spieszyć, — rzekł, i zaczął przygotowywać knebel.

Bondi krzyczał, jak szalony, ale Bilewski zerwał się i przycisnął mu ręką usta.

— Milcz, podły szpiegu, — zawołał.

Iwan włożył mu teraz knebel w usta, tak, że już krzyczeć nie mógł, ale oczy jego patrzały z okropnym wyrazem na otaczających. Była w nich nienawiść, złość i dzika groźba, mianowicie, gdy spoczęły na Henryku i Teresie.

Pomimo, że był skrępowany, stoczył jeszcze walkę z Iwanem przy wkładaniu czarnej kapy. Rzucał się, wykręcał głowę — wyprężał członki, ale nic mu to nie pomogło. Czarna skórzana zasłona przykryła mu głowę i twarz, spadając aż na szyję — ciemna noc, wstęp do nocy wiecznej w grobie, otoczyła go nagle.

Bondi przestał się szamotać! Wiedział, że teraz nie ma już dla niego ratunku, że kto raz tę czarną kapę ma na głowie, ten jej za życia nie zdejmie. Ilu nieszczęśliwych szło już w niej na rusztowanie, ile łez ostatnich wsiakło w tę grubą skórę! Ile westchnień zostało w niej, ile kropli krwi zbroczyło to ohydne przykrycie!

Iwan ściągnął ją mocno, a Elżbietka pomagała mu rzemienie zapinać.

— Gotowe — szepnął Iwan.

I ujawszy ramię skazańca, wyprowadził go przed dom, popychając przed sobą.

Głośne okrzyki powitały ich zaraz. Polacy płakali i wyrzekali, Rosyanie krzyczeli z radości — mnóstwo ludzi zebrało się tymczasem, i mianowicie pospólstwo żądne było niezwykłego widoku!

Bondi chciał się rzucić na ziemię, ale Iwan skinął na pomocników, i ci, ująwszy go pod ramiona, prowadzili szybko na rusztowanie.

ROZDZIAŁ XV.

Pod toporem kata.

— Właściwie powinniśmy mieć to zadosyć uczynienie, — rzekł hrabia Bilewski. — aby widzieć spadającą głowę

ędznika. — Myślę, że możemy się odważyć — kto nas pozna? Kto będzie pomiędzy publicznością szukać Henryka Orszańskiego, wiedząc, że on znajduje się pod toporem kata?

Książę Adam zgodził się na to, Henryk także, i nie tracąc czasu udali się wszyscy na miejsce stracenia.

Rusztowanie wysoko było zbudowane, trzeba było wejść po pięciu schodach. Na środku znajdował się ogromny, gruby pień, na którym leżał topór, lśniący i ostry, oświecony promieniami porannego słońca.

Naprzeciwko rusztowania stał namiot, w którym siedział Wielki książę Konstanty i przedstawiciele rosyjskiej arystokracyi. Książę był zawsze obecnym, gdy tracono Polaka.

Po prawej jego stronie siedział jakiś generał, po lewej zaś mały garbaty mężczyzna, o długiej czarnej brodzie i małych przenikliwych oczach. Miał on ciężki złoty łańcuch na szyji i złoty order na piersiach, a każdy bał się tego człowieka i unikał go jak mógł.

Był to doktor Lebel, żyd, sekretarz księcia. Niezmiernie uczony, przebiegły i sprytny, potrafił się wynieść na tak zaszczytne stanowisko dzięki swej zręczności. Książę lubił go bardzo, nie pokazywał się publicznie nigdy bez niego, i mówiono ogólnie, że w Warszawie nie dzieje się nic bez wiedzy i woli Lebela. Kto nie był z nim — ten był przeciw niemu — jeżeli jaki, chociażby wysoki urzędnik, nie ukłonił się Lebelowi dosyć nizko, ten mógł być pewnym, że go wkrótce z urzędu wyrzucą.

Lebel był potęgą!

W tej samej chwili, w której kat z swoją ofiarą zbliżał się do rusztowania, wybiegł z tłumu mały, bosy chłopiec z koszem pięknych jabłek, i zbliżając się śmiało do namiotu księcia zawołał głośno:

— Kupcie jabłka, panowie, kupcie jabłka! Jakie piękne, świeże!

Wielki książę odwrócił się do generała i nie zważał na chłopca, który ująwszy jabłko, rzucił je prosto w ręce Lebela. Potem uciekał, ile mu sił starczyło, bo już dwóch Kozaków, utrzymujących porządek na placu, zbliżało się do niego z groźnie podniesionemi nahajkami. Ale chłopak zniknął w tłumie.

Lebel obejrzał jabłko najpierw zdaleka, potem z blizka — był on zbyt przebiegłym, aby nie wiedzieć, że chłopiec umyślnie jemu jabłko to rzucił i że musiał mieć w tem jakiś cel. Pierwszą jego myślą było, że jabłko jest napełnione prochem, że ktoś chce księcia, albo jego samego zabić.

Żyd zadrżał. Spostrzegł, że jabłko jest w środku przekrojone, i że obie połowy sztucznie są zlepione.

— Pewnie jaka prośba, — pomyślał uspokojony, gdy pomimo nacisku żadna nie nastąpiła eksplozya.

I już chciał je wsunąć do kieszeni, aby później zawartość jego obejrzeć, gdy jednak ciekawość przemogła. Może to ważna była sprawa, którąby natychmiast trzeba załatwić!

Lebel cofnął się nieco w głąb namiotu — nikt na niego nie zważał, otworzył więc jabłko i wyjął z niego kilkakrotnie złożony papier.

— Ach, — szepnął blednąc, — to od niej! od Lei!

Z gorączkową szybkością przeczytał list, i teraz wiedział on sam jedynie, że stracenie skazańca, którego za chwilę miano wprowadzić na rusztowanie, nigdy się nie odbędzie!

List, który Lebel zawsze jeszcze trzymał w rękach, brzmiał jak następuje:

„Kochany bracie!“

„Nie mam czasu, aby ci wszystko wytłumaczyć, zostawiam to na później. Ach, czemu nie wróciłam już wczoraj z Petersburga, czemu wogóle wyjeżdżałam! To twoja wina — ty mnie zmusiłeś do tego! Chciałeś, abym nabrała manier wielkości światowych, tymczasem no, mniejsze o to! Po powrocie dziś rano usłyszałam zaraz na wstępie nowinę, że dziś ma być Henryk Orszański stracony. Bracie kochany, czyś ty o wszystkiem zapomniał, czy nie wiesz, że nasi rodzice zawdzięczają wszystko rodzicom Henryka? Czyś zapomniał, że młody hrabia nie był zbyt dumnym, aby się z nami, żydziakami, raz po raz bawić?

Ach, ja go i później zdaleka widywałam, w Wiedniu! Bracie, ja kocham Henryka Orszańskiego i błagam cię na wszystko w świecie, na Boga naszych ojców, ratuj go! Przysięgam ci, że jeżeli głowa jego spadnie dziś pod toporem kata, to możesz szukać jutro mego trupa w falach Wisły. Ty sam możesz go ocalić, słowo twoje znaczy więcej, niż słowo Wielkiego księcia!

Ratuj Henryka i twoją nieszczęśliwą siostrę!“

„Lea.“

Lebel wiedział, że skazany żyć musi i żyć będzie, ale jak to zrobić? Chodziło już tylko o minuty!

Siostrze swej nie mógł odmówić niczego w świecie, siostrę tę uwielbiał on i kochał wszystkiemi siłami swej duszy i serca. Gwiazdy z nieba byłby jej przyniósł gdyby to możliwem było, i przybrał niemi czarne włosy pięknego dziewczęcia, krew własną wylałby dla niej, gdyby tego zażądała!

Ludzie mówili nieraz, że Lebel zamiast serca, ma kamień w piersi, ale kto znał jego miłość i troskliwość dla siostry, ten musiał powiedzieć, że o ile Lebel był niegodziwym i złośliwym względem innych, o tyle był po prostu idealnie dobrym dla Lei.

Kochał on siostrę i opiekował się nią z czułością matki. On sam kształcił się w wielkich miastach i dużo w świecie bywał, Lea jednak nie opuszczała na życzenie jego rodzinnej woski.

— Ona jest za piękną, mówił, — ja nie chcę, aby ją ludzie widzieli!

Dopiero gdy skończyła lat ośmnaście, wziął ją do siebie do Petersburga.

Tu jednak nie długo bawiła.

Jeden z książąt z rodziny cara zobaczył ją przypadkiem i tak się nią zachwycił, że biednej dziewczynie wielkie z jego strony groziło niebezpieczeństwo. Książę prześladował ją swoją miłością, pisywał listy, przysyłał kosztowne podarunki i rzecz ta skończyła się tak, że car wysłał swego bratanka na Kaukaz a Lebel siostrę do Wiednia.

Później przeniósł się Lebel z księciem Konstantym do Warszawy, i był teraz tak potężnym i wszechwładnym, że nikt w świecie nie byłby się nawet spojrzeniem ważył ubliżyć pięknej jego siostrze.

Że Lea wyjdzie zamąż, o tem nie wątpił Lebel nigdy, i że ten mąż przynajmniej musi być hrabią, to także było jasnem, jak na dłoni. Piękność jej miała mu pozyskać szwagra, któryby w wytwornem towarzystwie rosyjskiem wielką odgrywał rolę.

A teraz otrzymał wyznanie jej miłości — dowiedział się, że oddała już serce i to człowiekowi, który w jego przekonaniu był zgubionym, chociażby nawet dziś został ocalonym od śmierci! Karyera Henryka Orszańskiego była pod każdym względem skończoną.

Pomimo to musiał go ratować!

Bo wiedział, że Lea dotrzyma słowa, i że bez namysłu odbierze sobie w ten lub ów sposób życie, gdy się dowie, że Henryk został ściętym!

Lebel zwinął papier i schował go do kieszeni. W tejże chwili obrócił się książę do niego.

— Cóż to, taki jesteś dziś zamyślony? Czy nie cieszysz się, że znów jeden z buntowników ubędzie?

— Tak, to prawda, — odrzekł Lebel, — ja sam radziłem, aby wyrok przyspieszyć, ale teraz przyszły mi inne myśli do głowy, i nie wiem...

— Mówże, Lebel, — zawołał książę, — wiesz, że ja czasem rady twej słucham! Nawet często. Ty jesteś dobrym doradcą, perłą sekretarzy, i przyznam się szczerze że sam nie dałbym sobie rady!

— Największem mojem szczęściem jest służyć wiernie Waszej Książęcej Wysokości! Nie potrzebuję zapewniać, że nienawidzę Polaków i że radzę zawsze karać ich tak surowo, jak tylko można!

— Wiem, pomogłeś mi dzielnie w szukaniu buntowników, i to mnie rzeczywiście dziwi, bo żydzi są tu zawsze po stronie tych bohaterów wolności! Muszę otwarcie powiedzieć, że nie jestem zadowolonym z żydów!

— Trzeba w najbliższym czasie ostrzejsze wydać prawa, trzeba ukrócić zuchwałość żydów! Polacy zbyt łagodnie obchodzili się z nimi, zbyt zaufali, ale my utrudnimy im trochę zarobek.

— I ty tak mówisz, sam będąc żydem?

— Jestem żydem z urodzenia, — rzekł Lebel, gładząc czarną brodę, przyczem brylantowe pierścienie zabłysły w słońcu, — to prawda. Mój ojciec był prostym karczmarzem, zarobił na wódce trochę pieniędzy, bo nic innego nie umiał, ale ja uczyłem się, a kto ma rozum i naukę, ten przestaje być żydem. Mam nadzieję, że Wasza Książęca Wysokość jesteś przekonanym o mej wierności i wierzysz mi

o każdej chwili gotów jestem oddać życie za Waszą Wysokość i cara Wszechrosyi.

— Jesteś wiernym, Lebel, wiem o tem, — odrzekł książę, — i we wszystkich sprawach polegam zupełnie na twojem zdaniu. Ale teraz powiedz mi, o czem myślałeś poprzednio?

— Zdaje mi się, że byłoby rozsądnie, gdyby Wasza Książęca Wysokość odegrała komedyą wielkiej wspaniałomyślności. Kazaliśmy dotąd tracić bez miłosierdzia wszystkich Polaków, jakżeby było, gdybyśmy jednego z nich ułaskawili? Wywarłoby to na lud jaknajlepsze wrażenie!

— Ja bym miał ułaskawić polskiego buntownika? — zawołał książę. — Jak możesz mi coś podobnego doradzać! Zkąd, dlaczego!

— Nigdybym tego nie uczynił, gdybym nie był otrzymał z jednej strony ostrzeżenia, — odrzekł Lebel poważnie.

— Zdaje mi się, że ścięcie hrabiego Orszańskiego rozgniewało by wielce naszego potężnego sąsiada.

— Kogo?

— Cesarza austryackiego. Hrabia Orszański jest właściwie poddanym austryackim, żył długie lata we Wiedniu, bywał na dworze i był w towarzystwie wiedeńskim najpierwszą osobą. Gdybyśmy kazali stracić tu poddanego sąsiedniego państwa, to cała Austrya oburzyłaby się na nas! Dziś rano otrzymałem z gabinetu Meternicha wiadomość, że dwór wiedeński żąda ułaskawienia hrabiego Orszańskiego, i że wzywa nas, abyśmy go natychmiast uwolnili!

Książę zaciął usta i namyślał się.

— Z Austryą nie możemy się naturalnie pogniewać, — szepnął, — rząd tamtejszy żadnych nam też dotąd trudności nie robił, gdy chodziło o wydanie buntowników, którzy tam uciekali. Więc Orszański jest tamtejszym poddanym! Hm, hm, to zmienia całą sprawę! Możemy go ułaskawić!

W tejże chwili poruszył się tłum niespokojnie; pomocnicy kata wprowadzili, a raczej wciągnęli skazańca na rusztowanie i przemocą rzucili go koło pnia na kolana.

— Ułaskawię go w ostatniej chwili, — szepnął książę.

— Lud będzie niezmiernie wzruszony, — odrzekł Lebel z bijącem sercem.

Dla skazanego okropna teraz nadeszła chwila.

Żadne pióro nie zdolne opisać męczarni, jakie Bondi znosił pod ową czarną kapą, gdy go pomocnicy kata wlekli na miejsce stracenia. Nogi wypowiadały mu posłuszeństwo, nie mógł się ruszyć, nie mógł oddychać — jeżeli jest piekło na ziemi, to on je przebył w całem znaczeniu tego słowa!

Po krzykach tłumu poznał, że zbliża się do rusztowania — teraz trąciły nogi jego o drewniane schody — jeszcze kilka minut, a głowa jego potoczy się krwawa, martwa...

I co najgorszego, że on przecież wcale umierać nie miał, że nie dla niego było rusztowanie zbudowane, nie na jego głowę wyostrzony topór kata. Stał on się ofiarą okropnej zemsty, na którą niegodziwością swą zasłużył, ale umierać dlatego nie chciał. Wiedział, że książę Konstanty jest obecny straceniu, czy nie byłoby sposobu dać mu się poznać? Tak blizko był jego dobrodziej, jego protektor, który by wszystko uczynił, aby go ratować, a on nie mógł nawet ręką dać mu żadnego znaku!

Gdyby kto z obecnych mógł był widzieć jego siną, straszliwie wykrzywioną twarz! Ale czarna kapa pokrywała szczelnie całą głowę!

Oczy wychodziły mu na wierzch. piana stała na ustach, językiem zaś usiłował knebel z ust wypchnąć, ale daremnie. Gdyby mógł zębami przegryść kapę! O tem jednak mowy być nie mogło!

Teraz wewleczono go na rusztowanie, kat schwycił go za kark i rzucił na ziemię. Pomocnicy zmusili go uklęknąć na kolana, jeszcze kilka sekund.....

Potem obnażono mu szyję, a wśród głębokiej ciszy dał się słyszeć znowu głos kata:

— Oddano mi tego człowieka, abym spełnił na nim wyrok śmierci, potwierdzony przez Najjaśniejszego cara i Wielkiego księcia Konstantego. Umywam moje ręce w niewinności — bo wypełniam tylko to, co mi każą.

Uderzono w bębny, kat z podniesionym toporem zbliżył się do skazanego. Śmiertelna cisza zapanowała w około.

— *Stój! —* zawołał nagle *Wielki książę!*

Kat spuścił topór, a Bondi poruszył głową o tyle, o ile mu na to powrozy pozwoliły.

Nadzieja wstąpiła do jego serca, nadzieja życia i wolności!

Publiczność stała milcząca z żdziwienia, czegoś podobnego nikt jeszcze nie widział i nie słyszał.

Książe Konstanty, nielitościwy tyran, nie wahający się nigdy podpisać wyroku śmierci, miałby w ostatniej chwili ułaskawić skazanego, i to jeszcze Polaka? Czy cuda się dzieją? Co miała znaczyć ta dziwna łagodność księcia? Książe wstał teraz i skinąwszy ręką, aby wszędzie cisza panowała, zaczął głośno i bez zwykłej surowości:

— Skazany na śmierć buntował się przeciwko carowi, przeciwko mnie i naszej ojczyźnie! Ale aby pokazać i dowieść, że usposobienie nasze względem tego kraju jest łagodne i szczere i że nie my wzniecamy niepokoje i zatargi pomiędzy Rosyanami i Polakami, przeto ułaskawiam skazanego. Hrabia Henryk Orszański jest wolnym!

Przeciągłe grzmoty oklasków były odpowiedzią na te słowa.

Polacy rzucali czapki w górę, krzyczeli i unosili się nad dobrocią księcia.

— Niech żyje! Wiwat Wielki książę Konstanty!

Tłum jest uszczęśliwiony, jeżeli mu się dostaną okruszyny łaski z stołu potężnego władzcy, bo myśli, że po okruszynie dostanie cały bochenek chleba. I daje się łatwo oszukać, wierzy we wszystko, i spodziewa się zawsze lepszej przyszłości.

Tak też było i tym razem.

Polacy myśleli, że z ułaskawieniem Orszańskiego lepsze dla nich nadejdą czasy, i niezmiernej oddawali się radości.

Ale na miejscu stracenia znajdowały się cztery osoby, którym na słowa księcia serca ze strachu bić nieomal przestały. Stały one obok siebie, otoczone setkami ludzi tak, że żadna z nich ruszyć się nie mogła.

Osobami temi był książę Adam, hrabia Bilewski, Henryk i Teresa.

Teraz musiała się wykryć zamiana skazanych, a jakie z tego mogły dla winnych wyniknąć następstwa — na myśl o tem drżał nawet Bilewski!

— Jesteśmy zgubieni, — szepnął książę Adam. — Jeżeli nas Iwan zdradzi, to umrzemy wszyscy, bo ucieczka jest niemożliwą. Ludzie stoją jak mur, przez który nie podobno się przedostać.

Henryk objął Teresę i przycisnął ją do siebie.

— Bądź odważną, najdroższa, — prosił. — cokolwiek bądź się stanie, ja czuwam nad tobą. A jeżeli śmierć nam jest przeznaczoną, to umrzemy razem.

— W takim razie nie boję się śmierci. Umrzeć z tobą, byłoby szczęściem dla mnie!

Najbardziej jednak przerażonym był kat.

Stał on jak skamieniały, topór drżał w jego dłoni i w końcu upadł z głośnym brzękiem na ziemię.

Pomocnicy kata tymczasem rzucili się na skazanego, rozwiązali sznury, odpięli rzemienie i postawili na nogi na wpół przytomnego barona. Bondi słyszał każde słowo księcia, wiedział zatem, że żyć będzie, ale teraz opuściły go siły, i czując się już bezpiecznym, zamknął oczy — zdawało mu się bowiem, że umiera. Zbytek radości odbierał mu przytomność.

— Zdjąć mu natychmiast czarną kapę, — rozkazał Wielki książę.

Iwan zawahał się. Chciał uciekać, ale gdzie, którędy i dokąd. Obejrzał się i — stał nieruchomy.

— Czyś nie słyszał, — krzyknął książę.

Iwan zbliżył się, odpiął rzemień — kapa zesunęła się i — —

Wielki książę krzyknął głośno, wstał, podparł się rękami o krawędź namiotu i patrzał na rusztowanie, jak gdyby oczom swoim nie dowierzał.

Czy tam rzeczywiście stał Bondi?

Bondi, jego wierny sługa, jego szpieg, stał blady, ze skrępowanemi rękami, i nie mógł słowa wymówić. Ale zkąd się tam Bondi wziął?

Lebel zerwał się także z krzesła.

— Przecież to nie jest hrabia Orszański! — zawołał — Tego nie skazaliśmy na śmierć — zamieniono skazańców albo omyłka jakaś, może nawet coś gorszego jeszcze.....

(Ciąg dalszy nastąpi